płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30 · IV · 1986 | 8

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Gratuluję, to była fajna robinsonada!

— Jak piłka przeleci przez płot albo przez okno, to jest karny. Jasne?

— Bramkarz powinien być trochę wyższy!

• A TO CIEKAWE! •

TERYTORIUM Holandii w ciągu najbliższych 50 lat powiększy się prawie o połowę. Holendrzy zamierzają wydrzeć morzu przez budowanie tam i osuszenie morskich zalewów 18 tys. km kwadratowych. Na odebranych morzu terenach, zwanych polderami, powstaną nowe miasta, zakłady przemysłowe i uprawne pola.

•

DANIA jest krajem, w którym uczęszczanie do szkoły nie jest obowiązkowe. Rodzice mają tam wybór: mogą posyłać swoje dzieci do szkół państwowych albo prywatnych, mogą powierzyć ich edukację prywatnym nauczycielom, mogą też uczyć je sami. Dzieci nie chodzące do szkoły na koniec roku zdają tylko egzaminy i podobnie jak inni uczniowie otrzymują promocję do następnej kasy.

•

MILION SŁONI żyje w Afryce, ale każdego roku z rąk myśliwych ginie 80 tys. Jeśli obecne tempo zabijania słoni nie zmniejszy się, afrykańskie słonie nie przeżyją dwutysięcznego roku.

WODA w Wiśle płynie z przeciętną prędkością 4 km na godzinę. Na przebycie 1047 km, czyli całej długości Wisły, potrzebuje około 10 dni.

•

ZŁOTO jest nie tylko surowcem jubilerskim. W Polsce roczne zużycie złota, głównie w przemyśle, wynosi 8—9 ton. Dlatego polscy geologowie poszukują złota w niektórych rejonach Sudetów, a także Karpat.

Do niedawna, za opłacalne uważano złoża, w których z jednej tony rudy uzyskiwano 2—3 g złota. Teraz opłaca się wydobycie rudy z zawartością 1/2 g na tonę.

•

PINOKIO, drewniany pajacyk z książki włoskiego pisarza Carlo Collodiego, znany jest już od ponad 100 lat. Jego pierwsze przygody drukowano w odcinkach w 1880 roku.

Pinokia znają dzieci niemal na całym świecie, gdyż książka ta została przetłumaczona na 83 języki. W polskim przekładzie ukazała się przeszło 50 lat temu. We Włoszech i kilku innych krajach istnieją nawet stowarzyszenia przyjaciół Pinokia.

Nasza okładka:

Zespół „Trzpioty" z Kielc

PO WYSOKIM NIEBIE

Po wysokim niebie
ktoś idzie do Ciebie
raz kolisty
raz rogaty
a gdy chmurą się okryje
to już go nie znajdziesz

jestem światłem niegorącym
jestem tylko światłem
srebrnym blaskiem
gońcem słońca
wysłanym w noc czarną

po wysokim niebie
cicho lekko srebrnie
raz świetliście
a raz smugą
w długi sen Cię przeprowadzam
przez igielne ucho

jestem światłem niegorącym
jestem tylko światłem
a gdy idę nad Twą głową
nie ma nocy czarnej

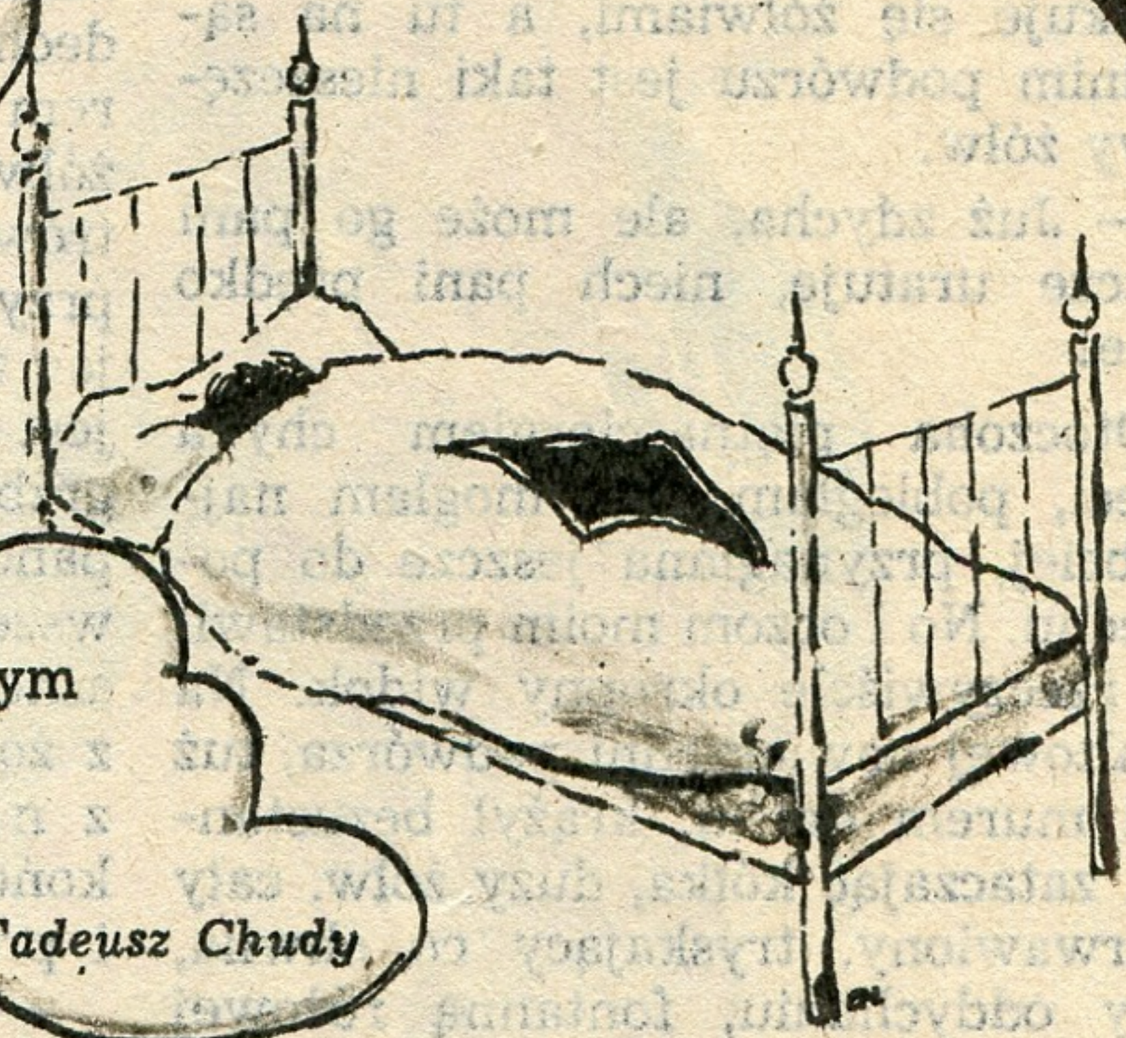

jestem światłem migocącym
z daleka od Ciebie
białą smugą sercem nocy
na wysokim niebie

Tadeusz Chudy

Rys. Ewa Marszał

PACJENT

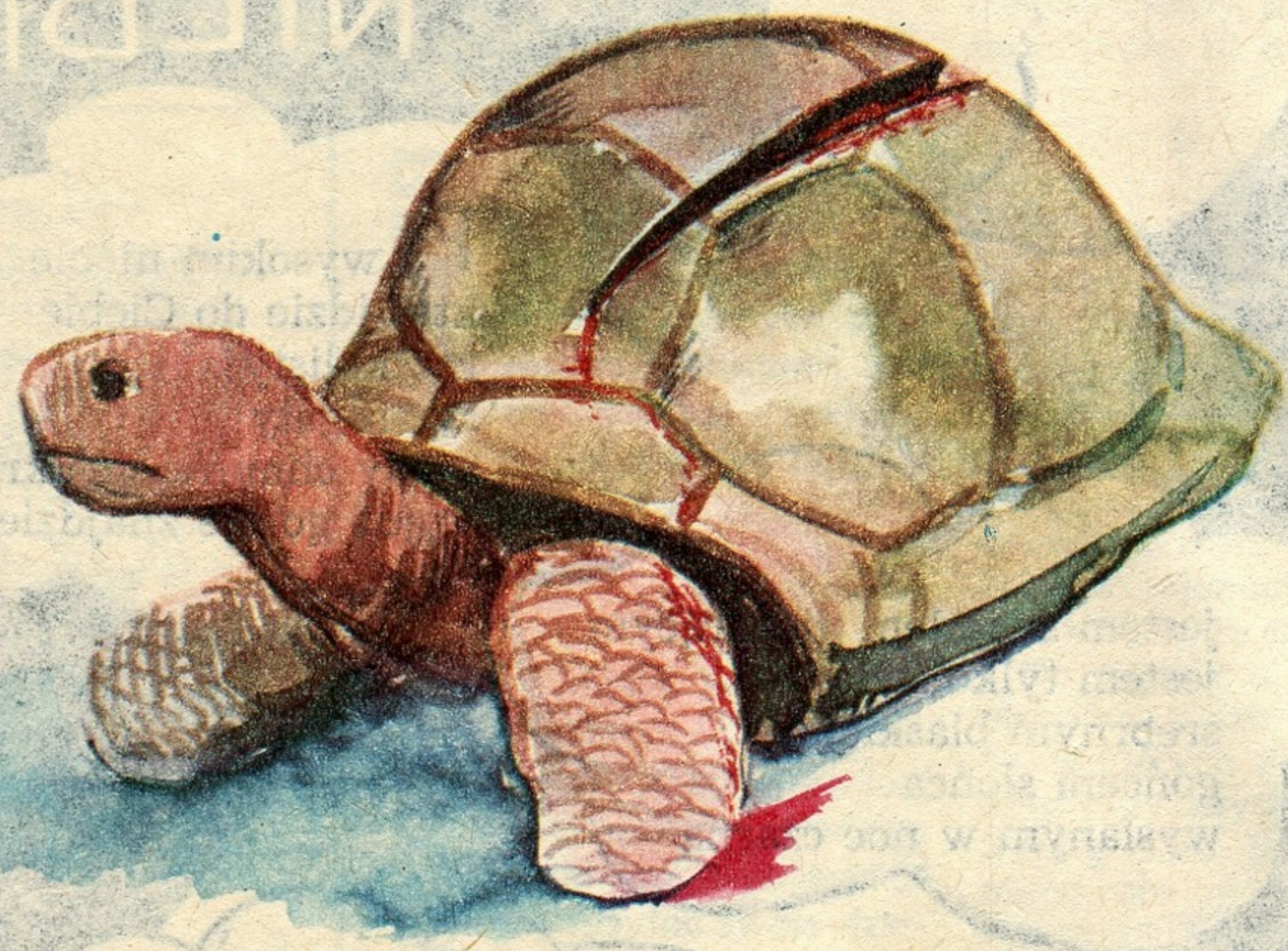

Pewnego dnia zdarzył się wstrząsający wypadek w najbliższym sąsiedztwie. Gromada dzieci zaalarmowała mnie, dzwoniąc bez przerwy do mieszkania.

— Co się stało?!

— Proszę pani! — wołały jedno przez drugie. — Słyszeliśmy, że pani opiekuje się żółwiami, a tu na sąsiednim podwórzu jest taki nieszczęśliwy żółw.

— Już zdycha, ale może go pani jeszcze uratuje, niech pani prędko idzie!

Otoczona piętnaściorgiem chyba dzieci, pobiegłam, jak mogłam najszybciej, przynaglana jeszcze do pośpiechu. No i oczom moim przedstawił się rzeczywiście okropny widok. Na asfaltowej nawierzchni podwórza, tuż pod murem dachu, krążył bezustannie, zataczając kółka, duży żółw, cały zakrwawiony, tryskający co chwila, przy oddychaniu, fontanną różowej piany, która wydobywała się z dużej podłużnej rany na wierzchniej stronie pancerza.

Przyglądałam się chwilę nieszczęśliwemu, biegającemu z bólu stworzeniu, po czym wzięłam je do rąk i rozpoczęłam bardziej szczegółowe oględziny.

Wokół mnie uciszyło się, jakby makiem zasiał, tak że słyszałam tylko oddechy, ciasno otoczona zwartym murem dzieci. Cięta rana na grzbiecie żółwia miała jakieś siedem centymetrów długości i zanieczyszczona była przy tym odłamkami kości. Trzymając żółwia w rękach, poczułam też, że jest dziwnie miękki. Odwróciłam go grzbietem na dół. Plastron, czyli spód pancerza, był popękany wzdłuż i wszerz, poszczególne tarczki brzuszne ruszały się. Przeniosłam wzrok z żółwia na dzieci. Patrzyły na mnie z napięciem, czekając na wyrok. W końcu posypały się bezładne pytania i prośby:

— Czy będzie żył?

— Czy skorupa się zrośnie?

— Niech go pani wyleczy!...

Jakaś mała dziewczynka, stojąca tuż koło mnie, płacząc, wyszeptała:

— A może on, proszę pani, zwariował, że tak w kółko biega?

Milczący orszak odprowadził żółwia i mnie pod same drzwi mojego mieszkania. Powiedziałam im, że teraz żółw musi trochę odpocząć. Obiecałam też solennie, że będę go leczyć, i wyraziłam nadzieję, że będzie żył. Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki buzie rozpogodziły się. Podziękowały mi najpromienniejsze pod słońcem spojrzenia.

Zabiegi około żółwiowego zdrowia zaczęłam od rozmowy telefonicznej ze znajomym chirurgiem. Prosiłam go usilnie, żeby powyjmował z rany okruchy i drzazgi pancerza. Powiedział mi, że nie może tego zrobić, bo nie zna dobrze anatomii żółwi, natomiast jego znajomy, młody lekarz weterynarii, na pewno przyjdzie żółwiowi z pomocą.

Włożyłam więc mojego biedaka do tekturowego pudełka po butach i pojechałam do wskazanego mi ambulatorium dla zwierząt, które mieściło się na Krakowskim Przedmieściu. Siedziałam już chyba z godzinę w poczekalni, czekając na przyjście lekarza, gdy oto wyglądający co chwila z gabinetu lekarskiego starszy pan odezwał się do mnie w te słowa:

— Proszę pani, ja wiem, że pani czeka na umówionego lekarza, ale mam do pani wielką prośbę. Nigdy w życiu nie operowałem żółwia, niech mi więc pani pozwoli się nim zająć.

— Ależ, owszem, z wielką radością i wdzięcznością powierzę panu żółwia — odpowiedziałam, podając mu pudełko.

Odebrał je ostrożnie z moich rąk i zamknął drzwi gabinetu.

Czy wiecie, kim był ów lekarz? Otóż jak się okazało, był nim profesor Wajgel, wielki miłośnik zwierząt, który w rok później, wraz z kilku innymi profesorami, rozstrzelany został przez Niemców w Powstaniu Warszawskim.

— Proszę pani, żółw, mam nadzieję, przeżyje mnie, panią i pewno jeszcze mojego wnuka — powiedział profesor otwierając po dwóch godzinach drzwi gabinetu.

Zostałam zaproszona do środka, a także wnuczek profesora, który czekał w poczekalni na dziadka. Dwóch asystentów kręciło się jeszcze koło stołu operacyjnego, zbierając narzędzia, a mój biedak siedział cichutko na stole i czekał na zabranie do domu.

— Proszę pani — powiedział profesor Wajgel — żółw ma uszkodzoną opłucną. Jak najdokładniej starałem się pousuwać odłamki skorupy, ale mimo wszystko jest pewna obawa zakażenia, założyłem więc sączki i zastosujemy odpowiednie lekarstwa, a jutro trzeba zmienić opatrunek. Proszę więc przynieść pacjenta, a przy okazji nauczę panią, jak zakładać opatrunki.

Słowo „pacjent" przylgnęło odtąd na dobre do żółwia, stając się jego imieniem.

— Czy rana się nigdy nie zasklepi? — spytałam profesora.

— Skorupa się nie zrośnie, ale wytworzy się ciecz, która zgęstnieje i będzie rodzajem ochrony dla opłucnej.

— A co zrobić ze spodem pancerza? — spytałam, wkładając Pacjenta do pudełka.

— No, cóż — odpowiedział profesor — i tu też nie ma mowy o zrośnięciu się skorupy, poklei więc pani naszego chorego leukoplastem.

Wracając do domu, wstąpiłam do apteki Wendego, aby zrealizować receptę na maść i kupić leukoplast. Jeszcze tego samego dnia Pacjent miał spód pancerza poklejony w kratkę, na kształt szachownicy.

Przez całą noc żółw przemierzał z bólu pokój wzdłuż i wszerz lub biegał w kółko, a rano znów znalazł się w gabinecie profesora Wajgla, który z niecierpliwością wyczekiwał na chorego, pragnąc się dowiedzieć, jak spędził noc, no i jak wygląda rana.

Nie było gorzej.

— Dobre i to — powiedział profesor i nakładając maść, pouczał mnie, jak należy postępować przy zmienianiu opatrunków. Odtąd bowiem, korzystając z jego wskazówek, sama już miałam leczyć żółwia. Odchodząc podziękowałam serdecznie profesorowi za udzieloną pomoc, kiedy zaś chciałam uregulować należność, profesor powiedział:

— Proszę pani, jest to mój pierwszy żółwi pacjent i pierwszy żółw w tym ambulatorium, leczyłem go bezinteresownie.

Tak więc nasz Pacjent został, jak widzicie, pacjentem honorowym. Stan jego zdrowia przez cały tydzień pozostawiał wiele do życzenia i bardzo mnie niepokoił, choć opatrunki wprost celebrowaliśmy, stosując się skrupulatnie do wszelkich przepisów i wymogów higieny.

Jeszcze tydzień Pacjent biegał dzień i noc po mieszkaniu i nic nie jadł, aż nagle uspokoił się, zaszył w kąciku między piecem a tapczanem i zasnął. Nie przerywaliśmy mu snu. Po trzech dniach i trzech nocach — zbudził się. Wyszedł na środek pokoju. Położyłam przed nim nieśmiało dużą główkę świeżej sałaty. Obwąchał starannie liście i zaczął jeść. Gdzież tam jeść! Wprost je pożerał. Po kilkunastu minutach po główce sałaty został tylko ogryzek głąba. Pacjent był zdrowy.

Janina Siwkowska
Fragment z książki „Moje żółwie"
(I. W. „Nasza Księgarnia" 1985)

Rys. Krzysztof Demianiuk

O ŻÓŁWIU, KTÓRY WSZYSTKO PAMIĘTAŁ

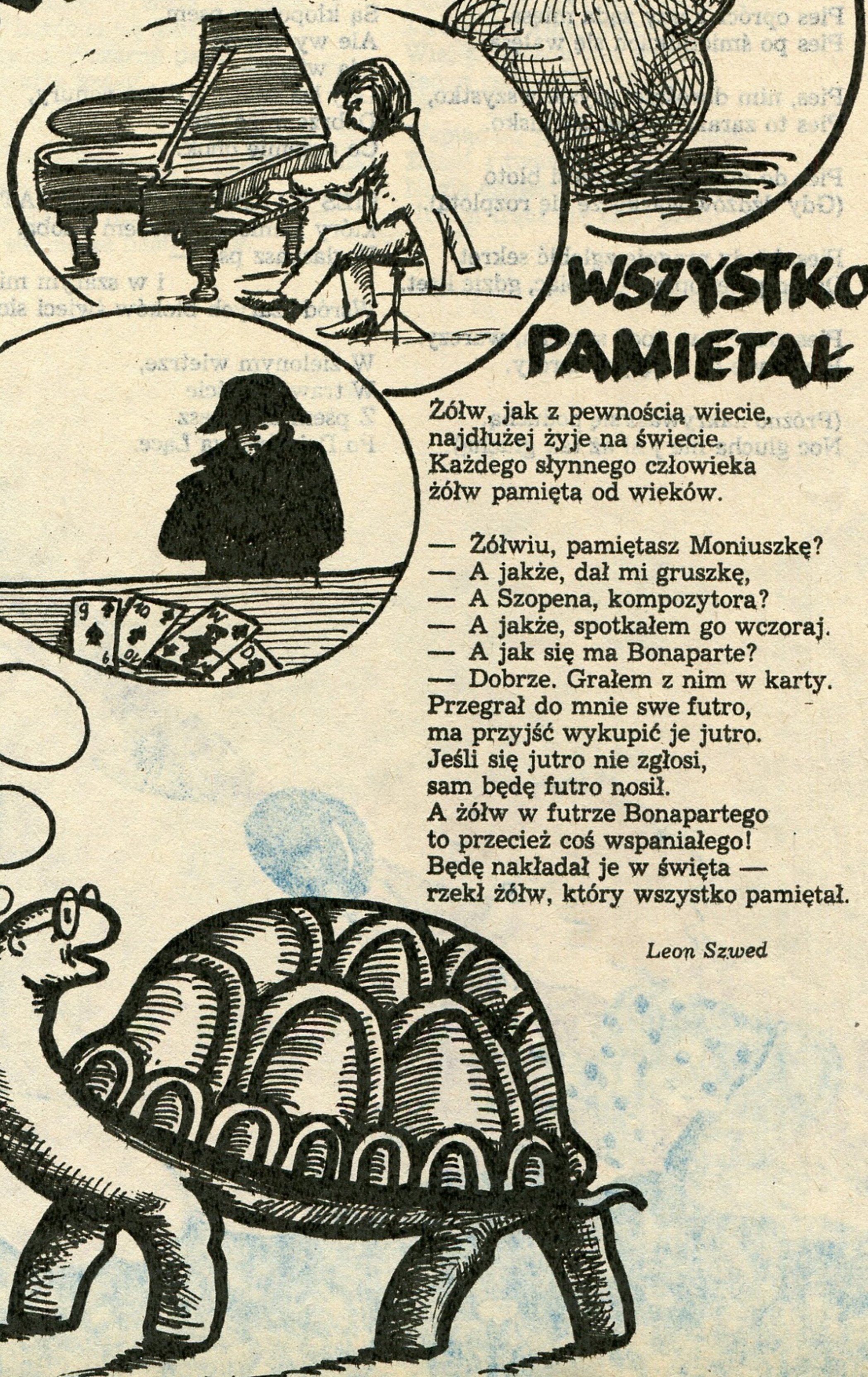

Żółw, jak z pewnością wiecie,
najdłużej żyje na świecie.
Każdego słynnego człowieka
żółw pamięta od wieków.

— Żółwiu, pamiętasz Moniuszkę?
— A jakże, dał mi gruszkę,
— A Szopena, kompozytora?
— A jakże, spotkałem go wczoraj.
— A jak się ma Bonaparte?
— Dobrze. Grałem z nim w karty.
Przegrał do mnie swe futro,
ma przyjść wykupić je jutro.
Jeśli się jutro nie zgłosi,
sam będę futro nosił.
A żółw w futrze Bonapartego
to przecież coś wspaniałego!
Będę nakładał je w święta —
rzekł żółw, który wszystko pamiętał.

Leon Szwed

PO CO WŁAŚCIWIE TRZYMAĆ PSA

Przeciwwskazania każdy zna:
Pies oprócz kaszy żąda mięsa,
Pies po śmietnikach się wałęsa.

Pies, nim dorośnie, gryzie wszystko,
Pies to zarazków jest siedlisko.

Pies do mieszkania wnosi błoto
(Gdy dżdżów warkocze się rozplotą).

Pies, kiedy pragnie zgłębić sekret,
Ogród przekopie — tropiąc, gdzie kret.

Pies czasem w nocy szczeka, warczy...
Pies wyje do księżyca tarczy.

(Próżno nakrywasz się poduchą.
Noc głucha nie jest aż tak głuchą).

To prawda.
Są kłopoty z psem.
Ale wy wiecie
I ja wiem —
Gdy łza oświetla dzień ponury,
Dobrze mieć psa,
Co drzemie obok.

PIES TO KAWAŁEK JEST NATURY,
który zamieszkał razem z tobą.
Pogłaskasz psa —
i w szarym mieście
Wśród szarych bloków świeci słońce...

W zielonym wietrze,
W traw szeleście
Z psem biegniesz
Po Dzieciństwa Łące.

NOS

Kiedy smutny wracasz z miasta,
Kiedy łamie ci się głos —
Czarny niby czarna pasta
Koło ciebie krąży...
Nos.

Najpierw milczkiem, najpierw z dala
Przestrzegając reguł gry
Jak detektyw Nos ustala,
Skąd się bierze nastrój zły.

Potem, gdy już Nos przyczyny
Twojej kwaśnej miny zna,
Wie, że sposób jest jedyny
Jedna rada... Właśnie ta:

Wspiąć się jak roślinka pnąca,
Zlizać z twarzy krople łez...
Nagle czujesz: pies cię trąca!
Nosem trąca cię twój pies!

Ryszard Marek Groński
Rys. Teresa Jaskierny

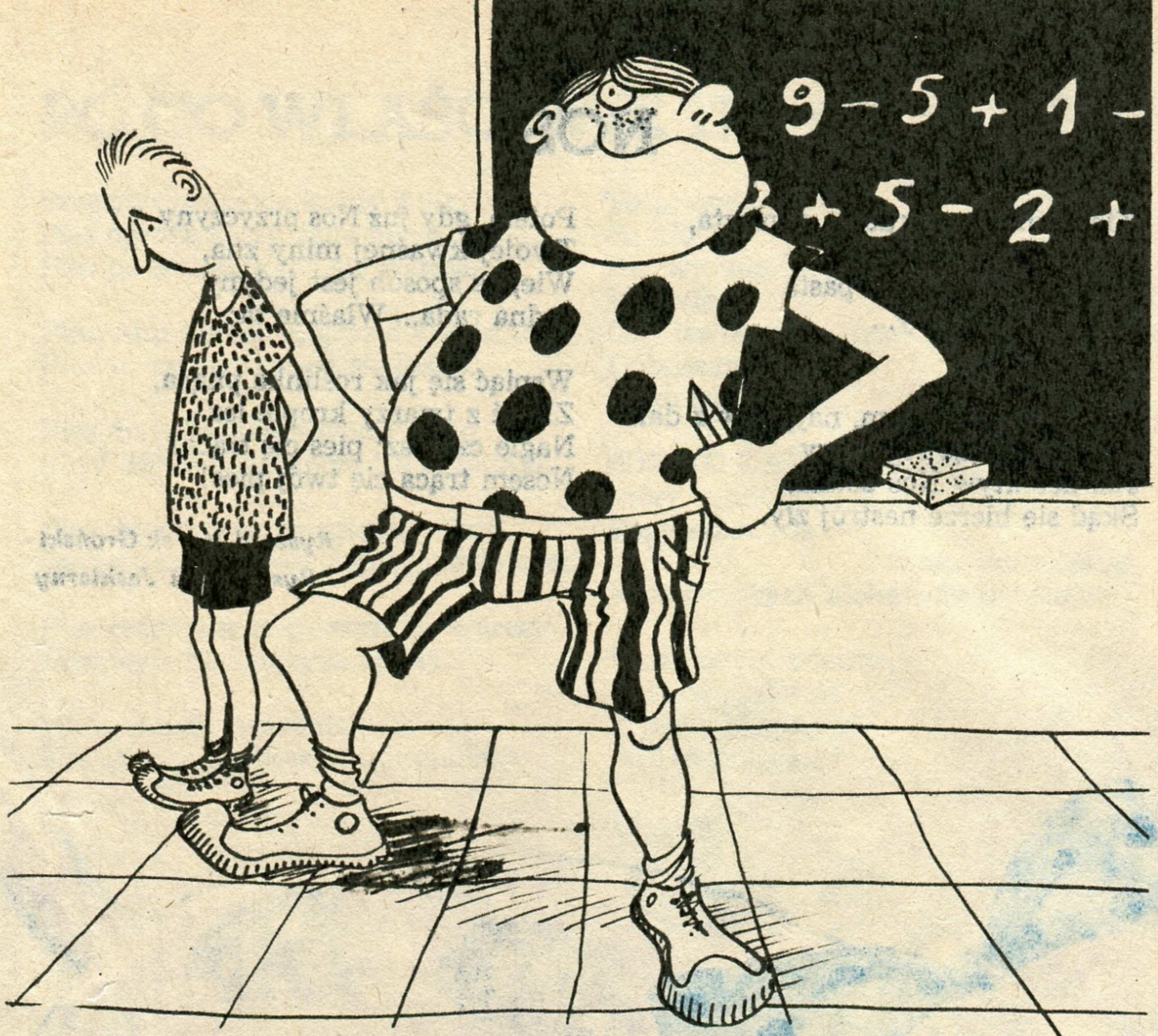

PRZYJACIEL

Przyjaźnimy się od trzeciej klasy i Zenek stale podkreśla, że jest moim prawdziwym przyjacielem i że zawsze mogę na niego liczyć.

Kiedy to mówi, ma bardzo dumną i zadowoloną minę.

Ja, niestety, muszę się przyznać, mam wątpliwości, czy to jest prawdziwa przyjaźń.

Może jestem niesprawiedliwy, ale często wydaje mi się, że Zenkowi chodzi przede wszystkim o to, aby go podziwiać i chwalić. I to bez względu na to, czy postępuje słusznie, czy nie. Nie znosi żadnych uwag na swój temat. Raz spróbowałem mu wytknąć coś, co mi się w jego zachowaniu szczególnie nie podobało, ale tak się wtedy obraził, że ze trzy dni się do mnie nie odzywał.

A przecież nikt nie jest doskonały. I na ogół każdy wcześniej czy później przyznaje się do popełnionego błędu. Każdy, ale nie Zenek.

Na przykład taka sprawa.

Wczoraj Mirek na matematyce został wywołany do tablicy i przez dłuższą chwilę stał, trzymając kredę w ręce, jakby nie zamierzał jej użyć.

Właściwie to nie bardzo wiedzieliśmy, czy nie czuje się na siłach, aby rozwiązać zadanie, czy tylko musi się trochę dłużej zastanowić.

Matematyk czekał cierpliwie, bo znał Mirka i wiedział, i my także wiedzieliśmy, że nasz kolega musi mieć

więcej czasu do namysłu. Wiedział o tym także Zenek, a mimo to podniósł rękę.

— Może ja to zrobię — zawołał.

— Dobrze, pomóż koledze — zgodził się matematyk.

Zenek podbiegł ochoczo do tablicy.

Wziął kredę z ręki Mirka i zaczął sam rozwiązywać zadanie.

Nauczyciel patrzył na to trochę zaskoczony.

— Miałeś tylko pomagać — powiedział.

— On by tego nigdy nie rozwiązał — powiedział Zenek.

— Hm, to niedobrze — powiedział matematyk i spojrzał na Mirka.

— Pamiętaj, żebyś na następną lekcję był lepiej przygotowany.

Mirek poczerwieniał, w oczach miał łzy.

— Kiedy ja... ja umiałem... ja bym to rozwiązał, tylko Zenek tak szybko...

— Wracajcie obaj na miejsce — przerwał nauczyciel.

Nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

Zenek za to miał uradowaną minę. Trącił mnie łokciem i powiedział:

— Musisz przyznać, że zrobiłem to błyskawicznie.

Nie odpowiedziałem.

On zaś chwalił się dalej.

— On by jeszcze do tej pory stał przy tej tablicy i gapił się jak cielę na malowane wrota... No, co nic nie mówisz? — zniecierpliwił się. — Przecież wszyscy widzieli, że on ani me, ani be...

Chciałem powiedzieć, że to właśnie Zenek odebrał mu jakąkolwiek szansę, ale bałem się, że mój przyjaciel znów się na mnie obrazi.

Zniecierpliwił się na dobre.

— Mówię do ciebie, a ty nic! Jakbyś nie słyszał. Musisz przecież przyznać, że jestem mocny w matmie.

— Tak — powiedziałem. — Jesteś mocny.

I pomyślałem sobie, że chyba nie jestem dobrym przyjacielem Zenka. Nie mam odwagi powiedzieć mu prawdy o nim samym...

Wanda Osuchowska-Orłowska

Rys. Daniel Wegner

CZASAMI WIECZOREM

Czasami wieczorem
nasza ulica
staje się tajemniczym kanionem,
po którym buszują Indianie.
Mają czerwone nosy,
zataczają się,
jakbym ich trafił
z niewidzialnego łuku.
Słyszę, jak łopocze
nad nami
namiot wiatru,
ale oni go nie słyszą.

Stanisław Grabowski

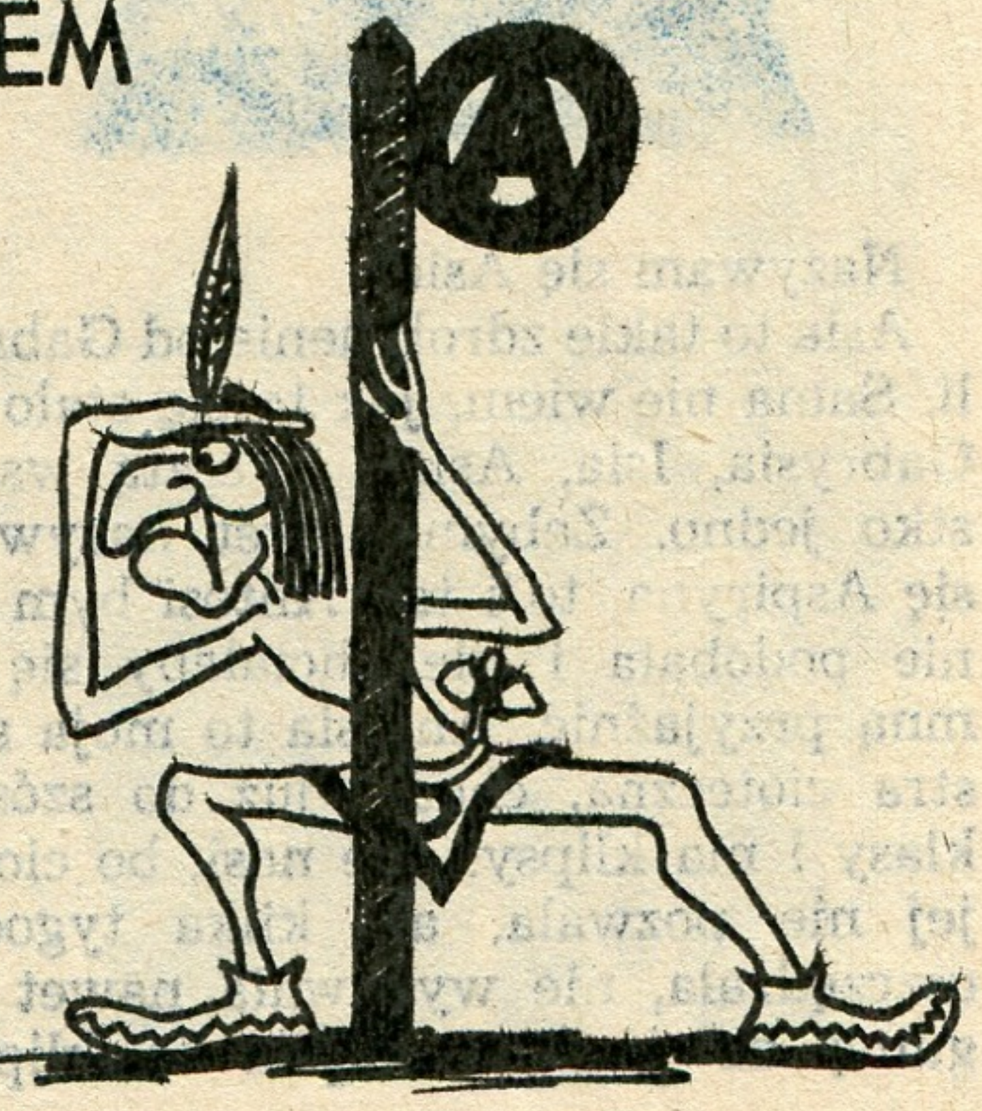

ASIA

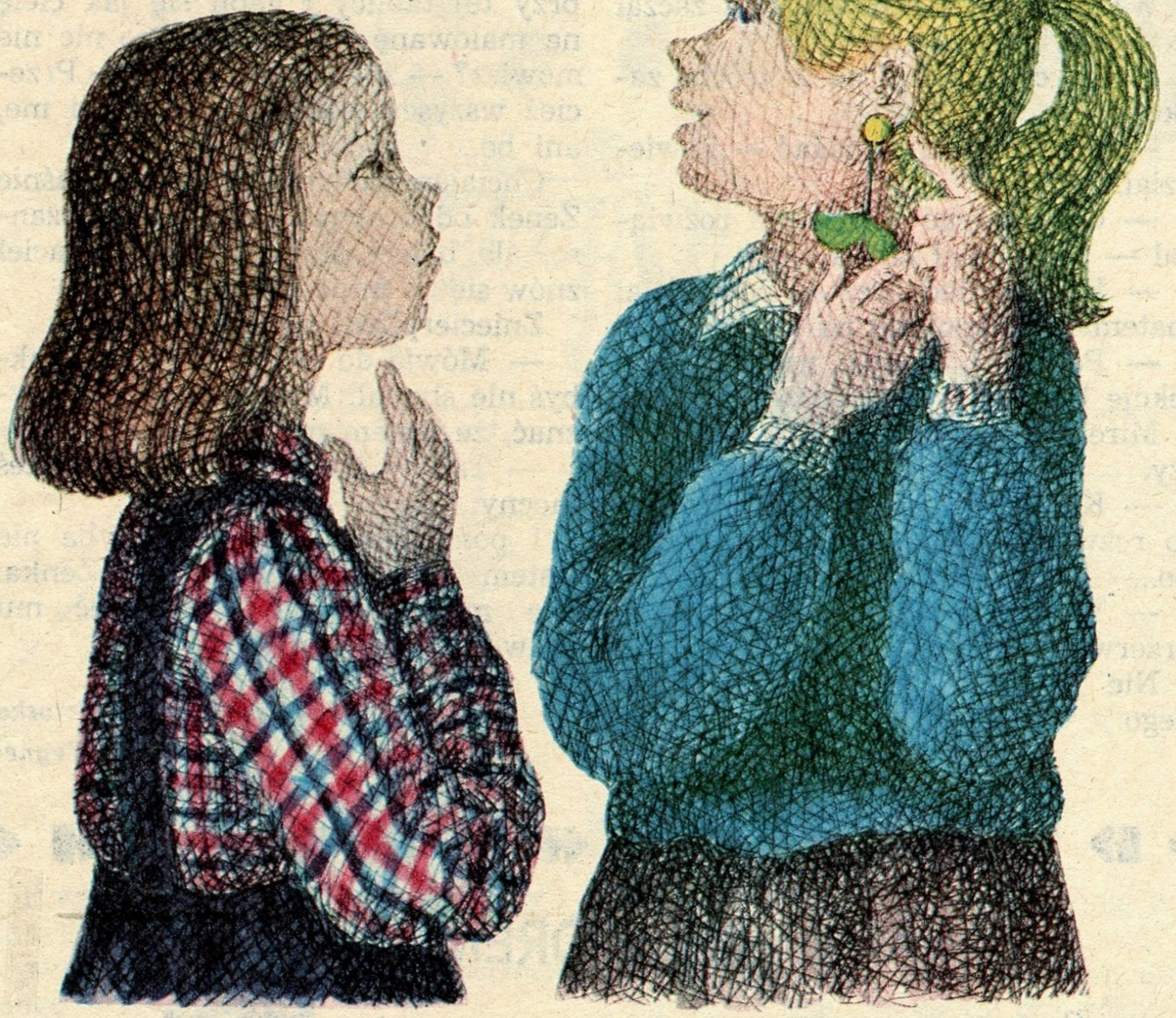

Nazywam się Asia.

Asia to takie zdrobnienie od Gabrieli. Sama nie wiem, jak to się stało — Gabrysia, Isia, Asia... Zresztą wszystko jedno. Żebym nawet nazywała się Aspiryna, to i tak Antosi bym się nie podobała i nie chciałaby się ze mną przyjaźnić. Antosia to moja siostra cioteczna, chodzi już do szóstej klasy i ma klipsy. Nie nosi, bo ciocia jej nie pozwala, ale kilka tygodni oszczędzała, nie wydawała nawet na gumę do żucia i kupiła te klipsy. Trzyma je w pudełku po kawie i te klipsy pachną jak nie wiem co. Są duże, żółte i wiszą tam jeszcze zielone listki. Ale Antosia nie pozwoliła mi ich nawet przymierzyć.

— To nie dla dzieci — powiedziała.

— A ty co jesteś?

— Nie „co", tylko „czym". Ja jestem młodzieżą.

— Nie można być jedną młodzieżą!

— No, to należę do młodzieży.

— A nie. Masz trzynaście lat...

— A ty masz dopiero jedenaście... W Ameryce trzynastolatki malują sobie usta. I paznokcie.

— To sobie też pomaluj. I nos na dodatek — powiedziałam, bo już byłam zła.

Ale Antosia taka głupia przecież nie jest. Niczego nie pomalowała. — A klipsy schowam — oświadczyła mi — i włożę za trzy lata. Zobaczysz, jak będę wyglądała. Romek trupem padnie. — Bo Antosia kocha się w takim jednym Romku z ósmej.

A jej przyjaciółką, taką od serca, jest ta głupia Iza z sąsiedniego bloku. Razem chodzą do szkoły, nawet starają się ubierać tak samo i Iza też kocha się w Romku. Nie wiem, po co Antosi ta Iza, ciągle tylko plotkuje i tak cienko się śmieje, o tak: „hi, hi, hi...". I ciągle by jadła, zawsze coś je. Nie znoszę jej. Co z tego, że jestem o dwa lata młodsza, wszyscy w rodzinie ciągle mówią, że siostry cioteczne powinny być przyjaciółkami, a Antosia nawet nie przyszła na moje urodziny, bo powiedziała, że jej nie bawią zabawy przedszkolaków. Ciocia przyszła, a ona nie...

Mama powiedziała, żebym się nie martwiła, po co mi Antosia, w klasie jest tyle miłych dziewczynek, przecież mogę się z jakąś zaprzyjaźnić, w tamtej szkole przyjaźniłam się z Beatką i dobrze było.

No tak, ale w tamtej szkole byłam od początku i czy to moja wina, że rodzice dostali nareszcie mieszkanie i wyprowadziliśmy się od babci i że od czwartej klasy chodzę tu... A tu wszyscy już mają przyjaciół, Marta chodzi z Elą, Wandusia z Małgosią i Krysią, Ewa z Anią, a o chłopcach w ogóle nie ma co mówić. Tylko wyją i popychają, jeden Emil jest spokojny, to go przezywają „Ciapa". Ale Emil jest jakiś taki, ciągle czyta, a do mnie jeszcze słowa nie powiedział.

Ciężko jest człowiekowi w nowej szkole, chociaż nikt mi nie dokucza, przeciwnie. Od razu pierwszego dnia pani mnie przedstawiła całej klasie, że jestem Gabrielą i że będę od dziś ich koleżanką, i żeby mnie ładnie przywitali. Wszyscy powiedzieli „Cześć", a potem pani rozejrzała się po klasie i zapytała:

— A co, Pławkówny nie ma?

To wstała taka jedna dziewczynka, która siedziała sama w ławce i powiedziała, że przecież rodzice Pławkówny

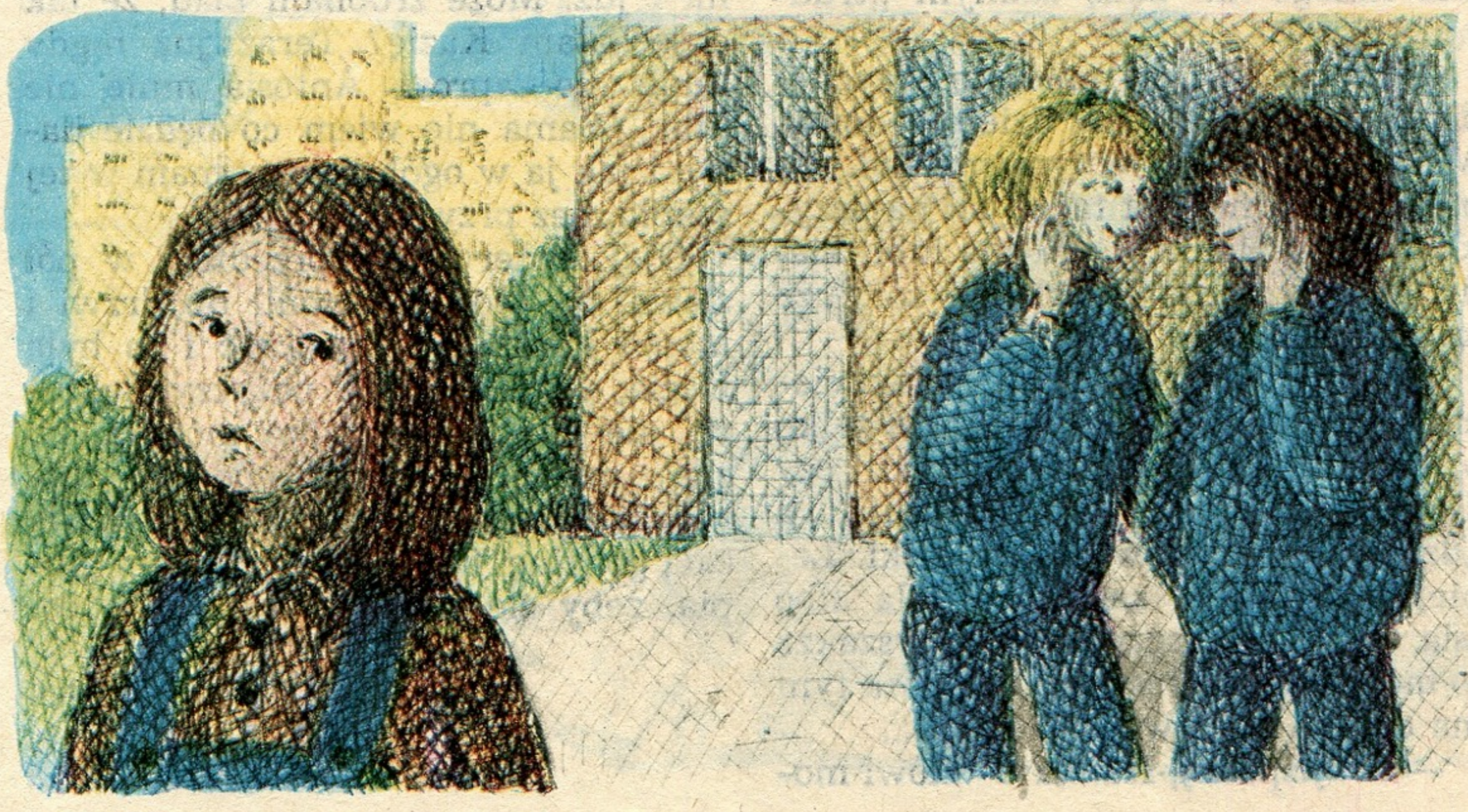

wyjechali na rok do Czechosłowacji, bo jej ojciec dostał tam jakąś posadę, no i oczywiście wzięli Pławkównę ze sobą. „A Gabriela może usiąść ze mną, trudno". — Powiedziała ta dziewczynka.

Za to „trudno" od razu ją znielubiłam, a pani też zapytała:

— Kaziu, dlaczego „trudno"?!

— Ojej — niby połapała się ta Kazia — ja tylko miałam na myśli to, że nie ma Pławkówny, bardzo ją lubiłam. Ale jeśli tu usiądzie Gabrysia, to owszem, będzie mi przyjemnie.

Wcale się nie dałam nabrać na takie gadanie. Pewnie tak mówiła, żeby pani się nie gniewała. I teraz wcale prawie nie gadam z tą Kazią, chociaż ona mnie i śniadaniami chce częstować i raz nawet do domu zapraszała.

— Ty, Gabrysiu, taka jesteś zawsze nadęta — powiedziała — uśmiechnij się, przecież nic ci nie zrobiłam.

— W ogóle po pierwsze to jestem Asia. I nie zaraz „nadęta" tylko poważna. I wcale nie musisz mnie zapraszać. Jak wróci ta twoja Pławkówna, to ją zaprosisz. A śniadanie mam swoje.

Tak jej powiedziałam i od razu mina jej zrzedła. Bo i pewnie, bez łaski. Dla nikogo nie będę żadnym „trudno".

Tylko że nikt do mnie nie przychodzi i siedzę sama cały dzień w domu. Mamusia nawet się tym martwi. Bo moja mama nie jest taka, jak na przykład ciocia Hania, która nie lubi, kiedy do Antoniny przychodzi za dużo koleżanek.

— Cały dzień pytlują — mówi ciocia — zamiast się uczyć, ciągle tylko o kieckach i o jakimś Romku czy Tomku. Podłogę mi zadeptują, a „dzień dobry" mówią jak z łaski. Lepiej by Antośka sama siedziała albo Isia by do niej przychodziła, wszakże to moja własna siostrzenica i poza tym ma dobrze w głowie. Bo ta Iza...

— Daj spokój, Hanka — mówi moja mama — człowiek sam sobie wybiera przyjaciół. I czego chcesz od Izy. Zielono ma w głowie, bo to przecież jeszcze dziecko. Ale jest miła i dobrze się uczy... A ja bym wolała taką Izę niż nikogo. Spójrz na Asię, siedzi z taką miną, jakby się octu napiła. Nikt tu do niej nawet nie zapuka, cisza, aż w uszach dzwoni...

— I bardzo dobrze — powiada ciocia — zresztą co to za cisza. Mam wrażenie, że Artuś robi dosyć hałasu...

Artuś, to mój brat. Ma trzy lata. Boże ty mój, co też ten dzieciak wyprawia. Moja mama jest doprawdy nadzwyczajna, że jeszcze mnie namawia na gości, bo z Artusiem jest i tak dosyć urywania głowy. Od czasu, kiedy zaczął mówić, to jeszcze nie przestał ani na chwilę... Czasami muszę zostawać z nim sama w domu. Wtedy staram się mu czytać bajeczki, żeby chociaż na sekundę przestał pytać i pytać... „A co to jest? A dlaczego mucha lata? A dlaczego pies nie lata?"

„No, nie wiem. Nie lata, bo nie lata". Po prostu głowa pęka. Taki Artuś to naprawdę nie jest towarzystwo dla dziewczynki z czwartej klasy. Ja muszę odrabiać lekcje, a nie siedzieć z dzieckiem. Zresztą nie wiem. Smutno mi i już. Może zrobiłam błąd, że tak objechałam Kazię? Teraz już nigdy mnie nie zaprosi, Antosia mnie nie lubi... Sama nie wiem co będzie dalej, i jak ja w ogóle wytrzymam w tej szkole, bez przyja...

Ojej, przerwałam przedtem w pół słowa, bo ktoś zadzwonił do drzwi i mama kazała mi otworzyć i to była Kazia, przyszła, żeby pożyczyć lekturę, ale chyba tak tylko mówiła, bo zdaje mi się, że przyszła, bo mnie lubi i pożyczyłam jej książkę i siedziała całą godzinę. Ojej! Jaka ja byłam głupia, żeby się tak obrażać o byle co!

Irena Landau

Rys. Małgorzata Zachorowska

PRZYSPIESZONY START

Kiedyś chciał polecieć w kosmos
I być sławnym przez stulecia,
Lecz za nieziemskie kawały
Wczoraj ze szkoły wyleciał.

MARZENIE

Jak nie uczyć się zbyt wiele
I zostać nauczycielem?

Rys. Krzysztof Demianiuk

O ZDOLNOŚCIACH

Trudno za geniusza
Uważać takiego,
Który zawsze bywa
Zdolny do wszystkiego.

SPOŁECZNIK

Wywiązał się ze zbiórki złomu
(Sam pan dyrektor go pogłaskał),
Tylko mama ciągle jest smutna
Bo w domu już nie ma żelazka.

Fraszki Jana Grossa

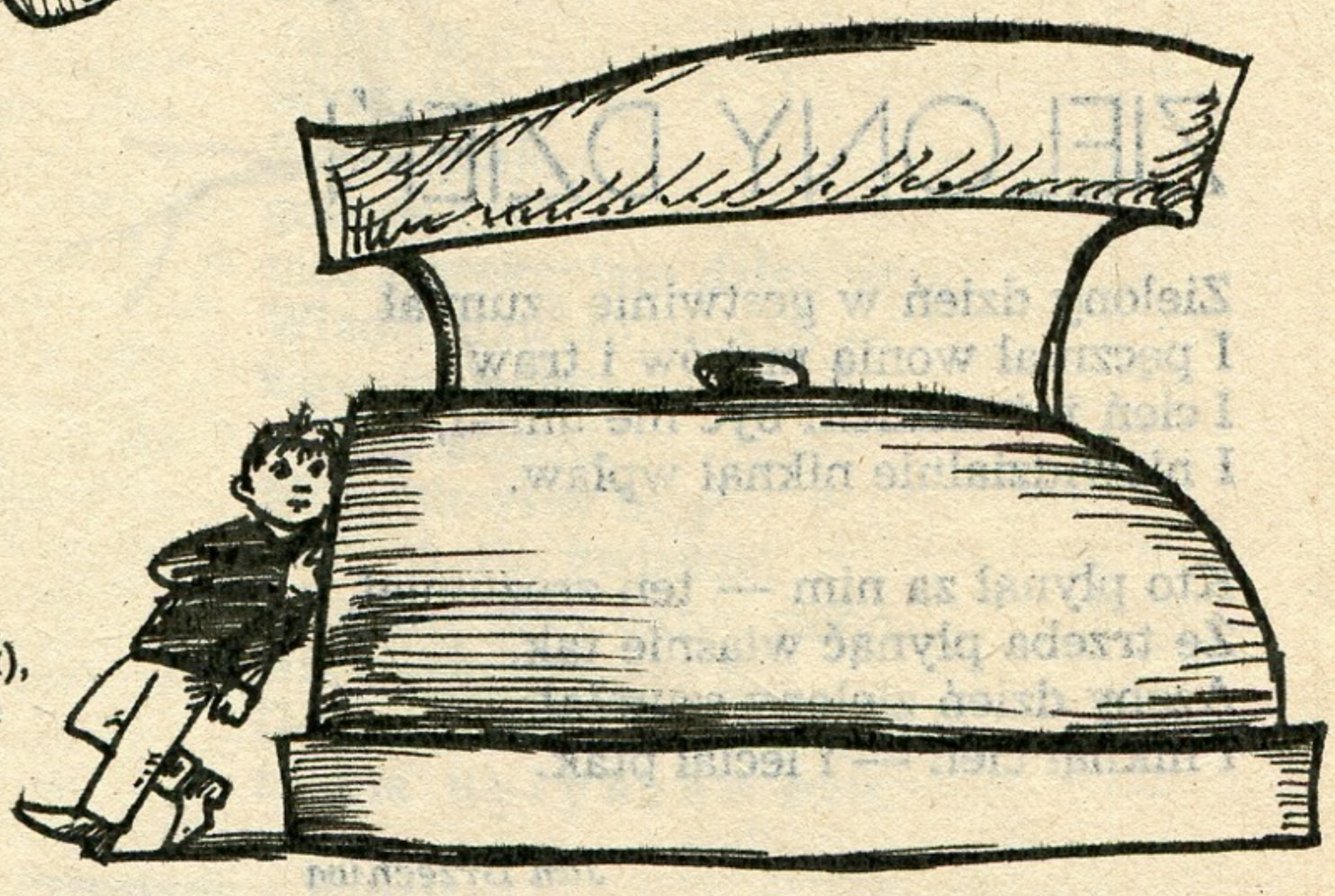

KWARTET SÓW

Zazielenił się już las,
sowy, sówki, na nas czas!
Noc jest ciemna, gwiazdy lśnią,
małe myszki w norce drżą.

U-hu, u-hu,
pełno tu ptasiego puchu...
Aż zadrżały małe ptaszki,
tylko gawron bił oklaski.

Mieczysława Buczkówna

LATARNIE

Latarnie
zasypiają o świcie,
kiedy wy
właśnie się budzicie.

W błękitnej świtu dłoni
każda z nich
gaśnie jak płomyk
i pod kołdrą obłoków
śpi smacznie
aż do zmroku.

Dorota Gellner

ZIELONY DZIEŃ

Zielony dzień w gęstwinie szumiał
I pęczniał wonią mchów i traw,
I cień już cieniem być nie umiał,
I niewidzialnie niknął wpław.

Kto płynął za nim — ten zrozumiał,
Że trzeba płynąć właśnie tak,
Ażeby dzień zielony szumiał,
I niknął cień — i leciał ptak.

Jan Brzechwa

ŚWIT

Noc
szeleszcząc suknią
odeszła.
Już świta.
Słyszysz?
Kogut pieje,
gdacze kura,
pies szczekaniem dzień wita.
Wiadro dzwoni wesoło —
zaraz odbędzie jazdę
w głąb studni.
Może złowi w niej
księżyc albo gwiazdę?
Siądźmy przy oknie cicho.
Nie mówmy teraz nic.
Gdy słucha się uważnie,
można u s ł y s z e ć świt.

Rys. Przemysław Woźniak

Dorota Gellner

Tańczący słoń

Scena ta tak zaszokowała Bartka, że stał chwilę, nie rozumiejąc, co się stało. Dopiero, gdy pani Irma wykonała szybki ruch ręką, jak gdyby chciała go odsunąć, wycofał się. Kiedy znalazł się blisko schodów prowadzących do piwnicy, odwrócił się. Zbiegł na dół, nie wierząc, że uszło mu to bezkarnie. Czuł się jak wypuszczony z klatki ptak. Błyskawicznie wspiął się na stertę węgla, a przez okienko prześliznął się jak wąż, lecz wciąż jeszcze nie wierzył, że tamci dali mu odejść. Dopiero gdy z krzaków usłyszał ciche poświstywanie, a po chwili ujrzał wyłaniającą się głowę pani inspektor, odetchnął z najcudowniejszą ulgą. Nie zważając na kolce dzikich róż, wcisnął się w zarośla. Zulejka przywitała go chichotem, zanim przyszedł do siebie, schyliła się i z krzaków podniosła... — nie chciał wierzyć własnym oczom — teczkę jego ojca.

— Zula — zachłysnął się — skąd masz tę teczkę?

Dziewczyna przymrużyła łobuzersko oko. — Z nieba mi spadła.

— Nie żartuj. Przecież miała ją Mortadela.

— I już jej nie ma — droczyła się żartobliwie.

— Jak to zrobiłaś?

— Sposobem.

— Nie kpij ze mnie.

— Sierżancie — uderzyła się dłonią w czoło — twoje klepki są nie naoliwione.

— No, mów, bo pęknę z ciekawości.

W jej zielonych oczach zabłysły wesołe ogniki.

— A słyszałeś hasającego po piętrze ducha?

Chłopiec spojrzał z niedowierzaniem.

— To ty tak jęczałaś i...

— A kto, jak myślisz?

— To było piramidalne.

— Do kwadratu.

— A skąd się wzięłaś w tym domu?

— Przeczułam, że ty wpadniesz tam w tarapaty.

— Znów żartujesz.

— Bo chce mi się śmiać, jak sobie przypomnę twoją minę, gdy Tolo złapał cię za kark.

— Naprawdę mnie widziałaś?

— Nie... nadawali w telewizji.

— Przestań mnie dręczyć.

Zulejka pokiwała głową.

— Ej, sierżancie, sierżancie, beze mnie tobyś już dawno zginął. — Poklepała go protekcjonalnie po ramieniu i zaczęła opowiadać o tym, co się zdarzyło od chwili, gdy się rozstali, a gdy doszła do momentu, kiedy pożegnała Muminka, dokończyła:

— Wyobraź sobie, ten wstrętny Fajczarz zniknął, jakby się rozpłynął w powietrzu. Chciałam go odszukać, ale na bulwarze nawinął się Tolo. W brezentowym worku dźwigał coś ciężkiego i z trudem doszedł do starego domu.

— No dobrze, ale jak on przecisnął się z workiem przez okienko?...

Zula pokiwała głową.

— Nic a nic nie kapujesz. Przecież ci mówiłam, że jest wygodne wejście przez werandę. Trzeba tylko odsunąć dwie deski. — Uśmiechnęła się. — Więc pan Tolo wszedł do środka, a ja za nim.

— Nie spostrzegł cię?

Wzruszyła ramionami.

— Człowieku, gdyby mnie spostrzegł, to nie udałby się następny numer... — Przeciągała wolno słowa, jakby się chciała znęcać nad Bartkiem.

— Mów, co dalej?...

— Dalej? — Zastanowiła się. — No cóż, pan Tolo zaczął wyjmować z worka cały ekwipunek: kostium płetwonurka, butle z tlenem, linę, jakieś haki i młotki...

— To, co mu było potrzebne do wyprawy po podziemne skarby — dodał fachowo. — Ale powiedz, z jakiego miejsca go obserwowałaś.

— Nie przerywaj — ofuknęła go. — Jesteś za mało spostrzegawczy. Nie zauważyłeś, że w suficie jest dziura? Przez tę dziurę zobaczyłam Mortadelę z teczką...

— A co zrobiła z teczką?

— Brawo — klasnęła językiem — nareszcie jakieś uczciwe pytanie. Weszła do bocznego pokoju, tego, który miał połączenie z korytarzem.

— Rozumiem. I tam zostawiła teczkę.

— Wspaniale! Coraz lepiej!... Więc Mortadela położyła ją pięknie w kącie pokoju... a wtedy zjawiłeś się ty.

— I ty to wszystko widziałaś? — Spojrzał zdumiony na Zulę.

— Jasne — chrząknęła znacząco — a najbardziej chciało mi się śmiać, kiedy capnął cię ten...

— Mądra! — Wzdrygnął się urażony. — Ciekawe, co być zrobiła na moim miejscu.

— W każdym razie nie opowiadałabym bajeczek, że bawię się w Indian. No i... — ciągnęła z werwą — myślę sobie: trzeba ratować mojego sierżanta... I zaczęłam udawać ducha.

— To już wiem, ale jak zdobyłaś teczkę?

Zulejka uśmiechnęła się tajemniczo.

— Po prostu miałam szczęście. Kiedy Mortadela zaczęła rugać szanownego Tola, to ja po cichutku na palcach zeszłam do korytarza, potem do pokoju i cap... Teraz już wszystko wiesz. Możemy działać dalej.

— Stop! — powiedział Bartek. — Przecież nie wiemy, co jest w tej teczce.

Spojrzeli na siebie znacząco i jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Sierżancie — rzekła pani inspektor — jesteś doprawdy znakomity. — Schyliła się, otworzyła teczkę. Na wierzchu leżał jedwabny szal.

— To pani Downarowej — powiedział Bartek z odcieniem rozczarowania.

Zulejka zawtórowała mu westchnieniem.

— A ja myślałam, że będą jakieś ważne i tajne dokumenty.

Bartek odsunął szal. Wyjął spod niego parę damskich butów.

— Włoskie — oceniła fachowo dziewczyna. — Schyliła się i jednym szarpnięciem wyciągnęła batystową nocną koszulę.

W tej samej chwili Bartek spod koszuli wyjął ciężką, złotą bransoletę. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— To też pani Downarowej. — Wnet jednak dodał z żalem. — Myślałem, że to siatka wytrawnych szpiegów, a tymczasem...

— Pospolici złodzieje — zawyrokowała Zulejka. — Zostają jeszcze Fajczarz, Krzywonos i pani Żednicka.

— Nie znaleźli brylantu, to obrobili pa-

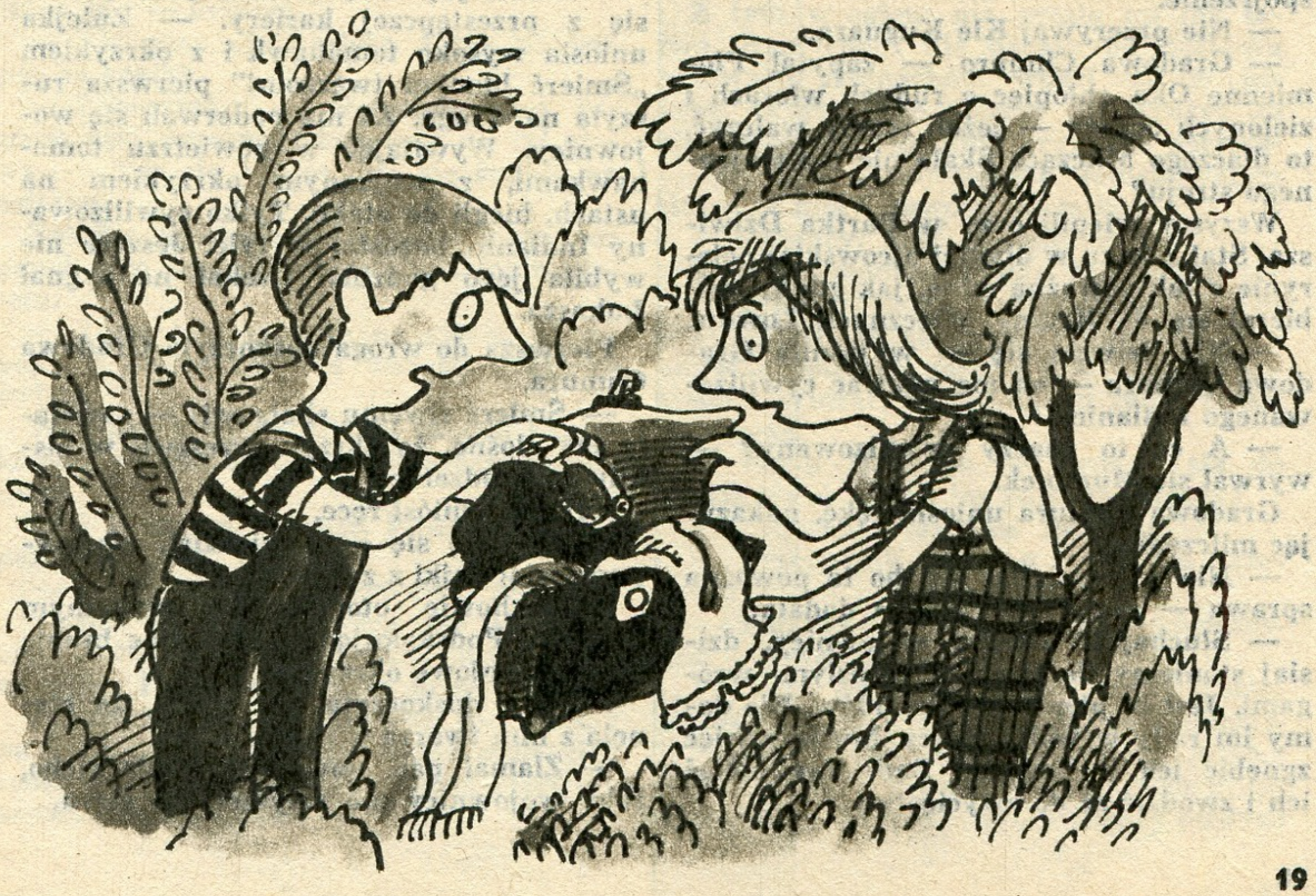

nią Downarową na cacy. Musisz jednak przyznać, że nalot na „Goplanę" zrobili fachowo i z polotem.

Dziewczyna zamyśliła się.

— Zapomnieli jednak, że mają do czynienia z nami.

Bartek spojrzał na zegarek.

— Teraz musimy rozesłać wici.

— Już rozesłane. Zrobił to Muminek.

— To wspaniale. — Skinął w stronę dziewczyny. — Zabierz teczkę i zanieś ją do siebie na kemping, a ja muszę zorientować się w sytuacji. O ósmej spotykamy się na przystani.

* * *

Zulejka wystąpiła przed szereg Arapachów.

— Słuchajcie, dzielni wojownicy — przemówiła uroczyście. — Nadszedł czas walki. Musimy wykopać z ziemi toporek wojenny i naostrzyć tomahawki, bo wróg chce zabrać nam nasze tereny łowieckie...

Wojownicy w wyczekującym skupieniu słuchali przemówienia Gradowej Chmury. Wszyscy oprócz Bartka wymalowali twarze, odziali się w najparadniejsze stroje, uzbroili w najokazalszą broń, a teraz czekali tylko na rozkaz wkroczenia na wojenną ścieżkę.

— Gradowa Chmuro — wyrwał się Kieł Kuguara, w cywilu Muminek — dlaczego wróg chce zabrać nam najlepsze tereny?

Zulejka posłała mu pełne przygany spojrzenie.

— Nie przerywaj Kle Kuguara...

— Gradowa Chmuro — zapytał Płomienne Oko, chłopiec o rudych włosach i zielonych oczach — jeżeli mamy walczyć, to dlaczego Milcząca Skała nie ma wojennego stroju?

Wszyscy wlepili oczy w Bartka Dziwisza. Stał z boku w długiej ojcowskiej pelerynie z tak poważną miną, jak gdyby wybierał się do Krainy Wiecznych Łowów.

— Nie dziwcie się — wyjaśniła Gradowa Chmura — on ma udawać cywilizowanego Indianina.

— A co to znaczy cywilizowany? — wyrwał się Muminek.

Gradowa Chmura uniosła rękę, nakazując milczenie.

— Nie wygłupiajcie się, bo to poważna sprawa — zawołała, a potem dodała:

— Słuchajcie, dzielni wojownicy, dzisiaj staniemy do walki z dorosłymi wrogami. Jest tu plemię wielkoludów. Nie damy im rady w walce wręcz. Musimy więc zgnębić ich podstępem. Będziemy nękać ich i zwodzić aż do zwycięstwa.

— A dlaczego? — zawołał Kieł Kuguara cieniutkim głosem.

Milcząca Skała odrzucił połę peleryny i jak burza doskoczył do niego.

— Zamknij się, bo cię palnę.

Malec zmarszczył łuszczący się nosek.

— Ty nie masz głosu, bo udajesz cywilizowanego.

Gradowa Chmura zerknęła na zegarek.

— Wojownicy! — zawołała gromko, unosząc wysoko tomahawk wodza. — Zbliża się historyczna chwila wymarszu. Za mną, dzielni Arapachowie! Unieście wysoko czoła i nie miejcie litości dla wroga!

Ruszyli na ugiętych kolanach w luźnym szyku indiańskim i posuwali się szparko. Gdy minęli Białą Górę, wódz dał znak, żeby się zatrzymali. Przypadli do ziemi, kryjąc się za pniami sosen i kępami paproci. Bartek podczołgał się do wodza.

— Widzisz coś?

Zulejka wyciągniętą ręką wskazała kępę czarnego bzu. — Fajczarz! — wyszeptała z przejęciem.

Nie myliła się. Na tle bujnych paproci widniała dobrze im znana sylwetka. Fajczarz rozglądał się, jak gdyby nic się wokół nie działo, a srebrnym szpikulcem grzebał w wygasłej fajce.

— Łotr, przecież przyrzekł ci, że dobrowolnie odda się w nasze ręce.

— Podwójny łotr, bo miał już wycofać się z przestępczej kariery. — Zulejka uniosła wysoko tomahawk i z okrzykiem „Śmierć bladym twarzom!" pierwsza ruszyła na wroga. Za nią poderwali się wojownicy. Wywijając w powietrzu tomahawkami, z wojennym okrzykiem na ustach, biegli do ataku. Tylko cywilizowany Indianin pozostał w tyle. Jeszcze nie wybiła jego godzina. Czekał na sygnał Łukasza.

Pierwsza do wroga doskoczyła Gradowa Chmura.

— Śmierć siwemu skalpowi! — zawołała tak głośno, że okrzyk przeszedł w piskliwe zawodzenie.

Fajczarz uniósł ręce.

— Poddaję się — powiedział, nie wypuszczając fajki z zębów.

Arapachowie otoczyli go tanecznym kręgiem. Podskakując i wywijając bronią wznosili bojowe okrzyki...

Zulejka doskoczyła tak blisko, że stanęła z nim twarzą w twarz.

— Złamał pan słowo — rzuciła cicho, żeby wojownicy nie usłyszeli jej głosu.

Fajczarz uśmiechnął się przekornie.

— Pierwszym przykazaniem każdego jeńca jest — uciekaj.

— Nic pana nie uratuje. I tak pójdzie pan za kratki.

— Zobaczymy. — Nonszalanckim ruchem ręki przesunął kapelusz na tył głowy. — Ten się śmieje, kto się śmieje na ostatku.

Zulejka potrząsnęła tomahawkiem tuż przed jego nosem i zawołała pełnym głosem:

— Zostaniesz spalony na stosie, a twe popioły rozsiejemy we wszystkie strony świata.

Wojownicy odpowiedzieli dzikim okrzykiem i jeszcze szybciej jęli krążyć wokół niego.

Kieł Kuguara pogroził Fajczarzowi toporkiem.

— Zrobię z ciebie krwawą masę — wrzasnął, a przybliżywszy się dodał cicho: — Niech się pan nie boi, to tylko tak na niby. I jaką pan teraz pisze książkę?

Fajczarz zostałby zapewne rozniesiony na strzępy, gdyby nagle wśród stuletnich sosen nie pojawił się Krzywonos. Pierwszy zauważył go Bartek.

— Uwaga! — zawołał. — Zbliżają się posiłki.

Z tym wrogiem nie poszło im tak łatwo. Krzywonos nie bacząc na liczbową przewagę Arapachów wdarł się w ich krąg. Wyraz jego twarzy nie wróżył im nic dobrego. Odepchnął brutalnie nacierającego nań z uniesionym tomahawkiem Roga Jelenia i zawołał szorstko:

— Chłopcy, dość tej zabawy!

Mylił się jednak, myśląc, że Indianie zostawią go w spokoju. Nieustraszeni wojownicy jęli go atakować z doskoku. Gdy odpędzał jednego, zaraz z tyłu nacierał następny. Widząc, że nie da im rady, zaczął paktować.

— Panie Henryku — zwrócił się do Fajczarza — niech im pan wytłumaczy.

Ten opuścił bezradnie ramiona.

— Przeciwnik, jak pan widzi, ma przewagę.

— Pan chyba też zupełnie zdziecinniał — rzucił mu oschle.

Fajczarz zrobił taki gest, jakby chciał się usprawiedliwić, lecz w tej samej chwili wśród wojowników ukazał się Arab... Ten wysoki, przystojny, który rano przyjechał do „Jantaru". Syn spalonej pustyni

na tle słowiańskiego boru wyglądał jak bożek. Jego pełna godności postawa onieśmieliła wojowników. Wycofali się na przyzwoitą odległość, przestali wymachiwać bronią i wykrzykiwać.

Arab zwrócił się do Krzywonosa po angielsku.

— Co on mówi? — Zulejka zapytała Bartka.

— Nie zrozumiałem.

— Przecież mówiłeś, że uczysz się angielskiego.

Tymczasem do rozmowy włączył się Fajczarz.

— On też zna angielski — szepnęła Bartkowi do ucha Zulejka. — To międzynarodowa szajka.

Fajczarz skinął na najbliżej stojących wojowników.

— Słuchajcie, chłopcy, ten pan — wskazał Krzywonosa — ma zagranicznych gości. Bądźcie więc tak dobrzy i odejdźcie spokojnie, bo to nie wypada...

Cofnęli się o kilka kroków i spojrzeli pytająco na wodza. Zulejka uniosła do góry swój tomahawk wodza.

— Polak, jak chce, to potrafi być gościnny — powiedziała głośno z przekąsem, a potem dodała szeptem: — Wiara, to tylko chwyt taktyczny. Zaraz im tak przygrzejemy, że uciekną na pustynię. — Potrząsnęła tomahawkiem i pierwsza ruszyła w przeciwnym kierunku. Czerwonoskórzy wojownicy poszli za nią.

Bartek zatrzymał się. Usłyszał bowiem umówiony sygnał. Nikt oprócz niego nie zwrócił nań uwagi. Brzmiał tak naturalnie jak głos zaszytego w gąszczu ptaka.

Bartek trącił łokciem Zulejkę.

— Walę do bunkrów, a ty pamiętaj, nie daj im spokoju.

— Odprowadzimy cię — wyszeptała. — Tak będzie lepiej. Nikt cię nie posądzi... — Jeszcze raz wskazała kierunek marszu. Przebrnęli przez moczary, a kiedy znaleźli się już blisko ukrytego wśród zarośli krzewów wejścia do bunkrów, Bartek zatrzymał Zulejkę.

— Jest ten drugi Arab — skinął głową w kierunku brzozowego przylasku.

Wśród młodych drzewek stał znany Bartkowi z plaży towarzysz pani Irmy. Na widok zgrai indiańskiej ukrył się w gęstwinie.

— Musisz go stąd odciągnąć — powiedział Bartek drżącym z emocji głosem.

— Dobra — odparła krótko i pokazując tomahawkiem kierunek, zawołała najgłośniej, jak potrafiła.

— Nieustraszeni, za mną! Na wroga!

Poderwani bojowym okrzykiem ruszyli ławą. Z ich gardeł wyrwał się bojowy okrzyk: hurrra! Unieśli toporki i dzidy. I nagle zrobiło się groźnie i tak bojowo, że sami przerazili się własnego krzyku, lecz na nic nie zważając biegli na spotkanie z ukrytym w brzezinie wrogiem.

Bartek odłączył się od nich. Chwilę badał teren, a gdy stwierdził, że nikt go już nie widzi, jął skradać się ku zamaskowanemu włazowi.

No, brachu — pomyślał — teraz na ciebie kolej.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rys. Jerzy Flisak

TRZPIOTY Z KIELC „ROBIĄ KAUCZUK"

Mówi się o nich „dzieci z gumy", „młodzież bez kręgosłupów"... A oni po prostu długo ćwiczą rozluźniając mięśnie, pochylając się i wyginając.

Giętkie kręgosłupy

Pojechałam specjalnie do Kielc, żeby zobaczyć, jak ćwiczą i występują „Trzpioty" — Zespół Rewiowo-Estradowy, który powstał tu w 1979 r. przy Wojewódzkim Domu Kultury. Ich opiekunem i nauczycielem jest pani Maria Kiszkurno, choreograf zespołu.

Przyglądałam się „Trzpiotom" początkowo z niedowierzaniem — przecież tak się nikt nie wygnie, to jakaś czarodziejska, jednorazowa sztuczka... Ale nie były to sztuczki. Najpierw długo się rozgrzewają, ćwiczą zwykłe skłony, przysiady, szpagaty. Potem coraz trudniejsze „wygibasy": zakładają sobie nogę na szyję, a siedząc odchylają się do tyłu i dotykają głową, podłogi... spójrzcie tylko na zdjęcia, co oni wyprawiają!

Najwytrwalsi ćwiczą w zespole 10 lat, bo już kilka lat przed powstaniem „Trzpiotów", przy kieleckim WDK istniała sekcja gimnastyczna. Dzieci przyjmuje się do zespołu w drodze eliminacji. W programach tańczy ich trzydzieści sześcioro. Pozostali, a jest to bardzo duża grupa, wytrwale ćwiczą. Ale tylko pod okiem instruktorów. — Samemu ćwiczyć nie wolno, bo można zrobić sobie krzywdę — poinformowali mnie mali gimnastycy.

Co mają z tych giętkich kręgosłupów? Jak twierdzą, bardzo wiele. W szkole na wuefie same piątki, bo ogólne wygimnastykowanie przydatne jest i w innych dyscyplinach sportu. Mogą też się pochwalić, że z ich zespołu wyrośli prawdziwi cyrkowcy, którzy ukończyli Szkołę Cyrkową w Julinku i występują teraz na arenie.

Ania, Anna i Joanna

W tajniki „robienia kauczuku", co oznacza to samo, co „robienie gięcia", wprowadzały mnie trzy „trzpiotki": Ania Janik, Joanna Januchta i Ania Durlej. Ta ostatnia, uważana za najbardziej giętką w zespole, ćwiczy od czterech lat. Kiedy zaczynała, nie potrafiła zrobić mostka ani szpagatu. A teraz, kiedy patrzyłam na to, co robi, nie mogłam powstrzymać się przed zadaniem jej pytania:

— Naprawdę nie boli cię przy tych ćwiczeniach kręgosłup?

Ania uśmiechnęła się kręcąc przecząco głową.

Wtedy mogłam już tylko zażartować:

— No tak, przecież ty nie masz kręgosłupa...

Dziewczynki zapoznały mnie też z nazwami poszczególnych figur:

— łezka — to gięcie do tyłu i złapanie dłońmi za nogi,

— gniazdko — w leżeniu na brzuchu przerzucenie nóg za głowę, nogi zgięte w kolanach, stopy oparte na podłodze,

— brzytwa — tak jak gniazdko, tylko nogi proste w kolanach, może też być:

— brzytwa na przedramionach.

Wszystkie te ćwiczenia, a także różne inne rodzaje gięcia członkowie zespołu prezentują w układach estradowo-tanecznych tworzących tematyczne całości.

Łąka i kosmos

Aktualnie występują z dwudziestominutowym programem „Łąka" i siedmiominutowym „Lecimy", potocznie nazywanym „Kosmos". Muzykę do tych układów skomponował Zdzisław Maurycy. Aranżacja i nagrania są dziełem Zbigniewa Górnego.

W kraju...

Zespół „Trzpioty" pokazywał swoje programy w wielu krajowych imprezach. W Ogólnopolskich Konfrontacjach Dziecięcych Zespołów Tanecznych w Koninie „Trzpioty" trzykrotnie zwyciężyły w kategorii rewii dziecięcej.

W corocznej imprezie estradowej pt. „Dziecko potrafi" w hali widowiskowej „Arena" w Poznaniu wystąpiły w ubiegłym roku z programem „Kosmos", a dwa lata temu z bardzo efektownym widowiskiem „Pali się".

Nie zabrakło też „Trzpiotów" na kieleckich Harcerskich Festiwalach Kultury Młodzieży Szkolnej i Gryfiadach w Szczecinie.

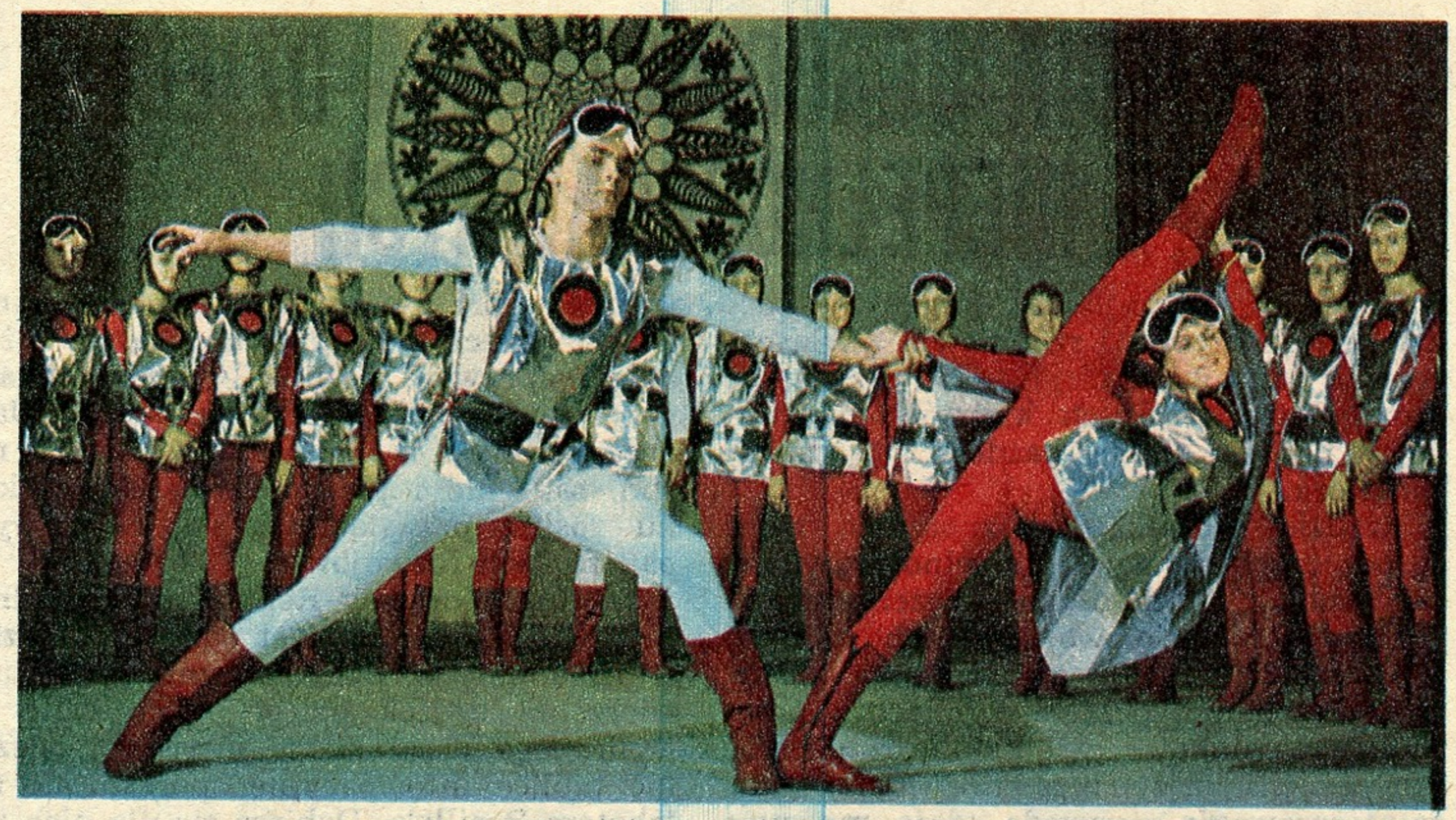

...i za granicą

Pierwszy raz za granicą „Trzpioty" pokazały się na Międzynarodowym Festiwalu Eurowizji w 1981 r., kiedy to w Belgradzie, w Jugosławii, spotkały się dzieci z 13 krajów.

Były też „Trzpioty" w ubiegłym roku na Festiwalu w Ankarze, w Turcji. Tydzień spędziły w Ankarze i trzy dni w Istambule pokazując swoje programy. Wzięły też udział w dwóch paradach ulicznych w tych miastach.

W filmie

Niedługo dzieci i młodzież w całej Polsce będą mogli zobaczyć akrobacje „Trzpiotów" w filmie wyreżyserowanym przez Jerzego Gruzę pt. „Pierścień i róża".

Maria Czernik

Fot. Stefan Rutkowski

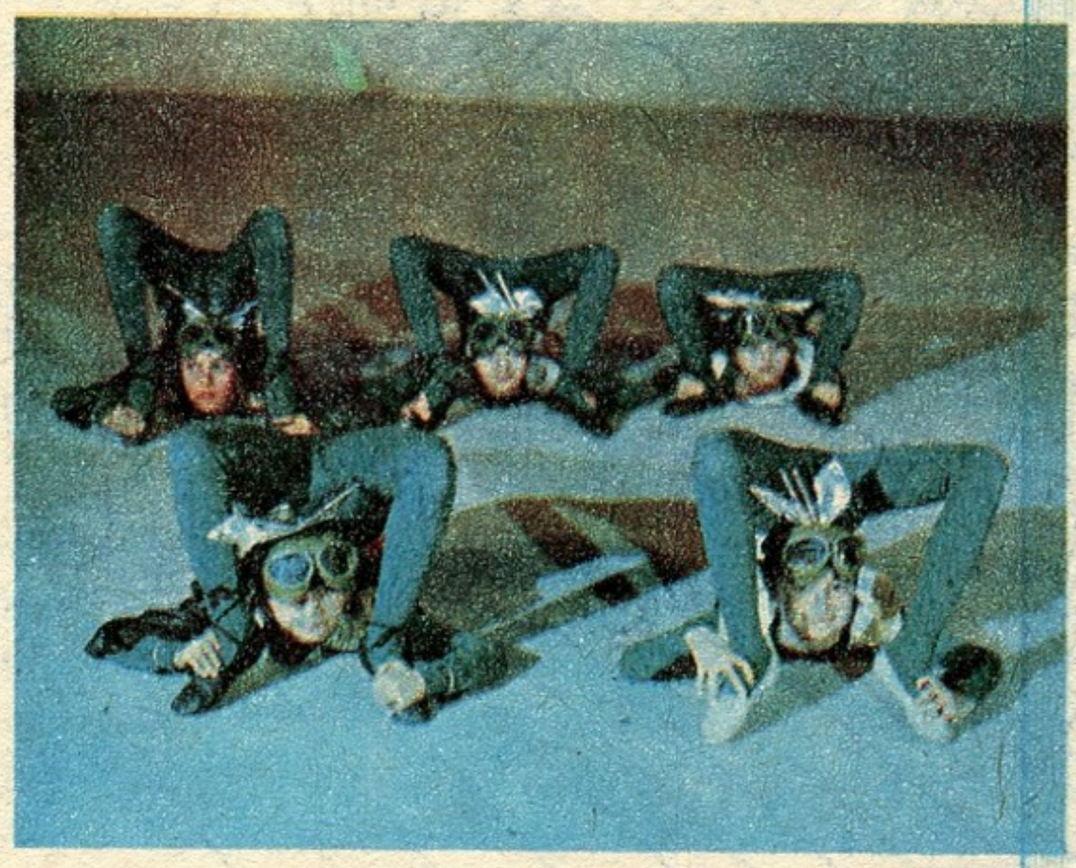

ZAJĘCIA OGRODNICZE DLA DZIECI NIEPEŁNOSPRAWNYCH

Wiadomo, że najlepiej smakują owoce z własnego drzewa i rzodkiewki z własnoręcznie uprawianej grządki. Uzyskanie szczególnie dorodnych kwiatów czy warzyw napawa dumą każdego ogrodnika-amatora.

Rzadziej docenia się znaczenie zajęć ogrodniczych dla dzieci niepełnosprawnych lub zmuszonych do długiego leżenia w łóżku czy też częściowo unieruchomionych w aparatach gipsowych. Uprawa roślin, bodaj w doniczkach, skrzynkach i pojemnikach, stanowi wielkie urozmaicenie w monotonnym życiu sanatoryjnym, budzi zainteresowanie przyrodą, daje mnóstwo zadowolenia.

Już przed pół wiekiem z powodzeniem prowadzono zajęcia ogrodnicze z dziećmi przebywającymi w sanatorium na Górce koło Kielc. Obecnie w wielu krajach urządza się całe ogrody dla niepełnosprawnych, gdzie dzieci na wózkach inwalidzkich, albo też poruszające się o kulach, mogą sadzić i pielęgnować rośliny dzięki specjalnie przygotowanym grządkom na podniesieniu albo posługując się odpowiednio przystosowanymi narzędziami. Nawet dzieci przykute chorobą do łóżka mogą uprawiać rośliny w pojemnikach przysuwanych do nich. Ileż radości daje obserwowanie kiełkowania i wzrostu roślin, sadzenie i pielęgnowanie bodaj kilku roślin, przyglądanie się kwiatowym pąkom i ich rozwojowi!

W Anglii oraz w Republice Federalnej Niemiec powstały nawet ogrody dla dzieci ociemniałych. Dzięki zróżnicowanej nawierzchni dróżek dzieci mogą trafić do wybranego przez siebie miejsca i odczytać tablice informacyjne sporządzone alfabetem Braille'a. Dobiera się dla nich rośliny o silnym zapachu, bądź o charakterystycznych liściach (chropawych, pokrytych meszkiem lub gładkich), co pozwala niewidomym rozpoznać napotkaną roślinę.

Niewidome dzieci łatwiej też uczą się rozpoznawać głosy ptaków, a później z dumą przekazują te wiadomości widzącym rówieśnikom.

Ewa Mochtak

Rys. Krzysztof Demianiuk

ŚLAD BLADYCH TWARZY

Sposób rozsiewania roślin często zależy od kształtu i rodzaju nasion. Lekkie skrzydełka i delikatny puch ułatwiają roznoszenie przez wiatr. Barwne powłoki zachęcają do spożycia nasienia przez ptaki. W ich żołądkach nasiona odbywają daleką podróż na miejsce, gdzie wydalone z odchodami, mogą znaleźć odpowiedni grunt do wykiełkowania. Tak właśnie rozmnaża się b a b k a z w y c z a j n a (*Plantago maior*), nazwana przez Indian „Śladem Bladych Twarzy".

Tę powszechnie znaną u nas roślinę zaciągnęli do Ameryki Północnej pierwsi biali osadnicy. Babka pojawiła się wszędzie tam, gdzie stanęła stopa białego człowieka. Stało się tak dzięki osobliwemu sposobowi rozsiewania się nasion babki, rośliny towarzyszącej człowiekowi, czyli synantropijnej (po grecku: syn — razem, anthropos — człowiek).

W czasie deszczu zewnętrzna powłoka nasienia śluzowacieje pod wpływem wilgoci, nasiona zlepiają się w galaretowatą masę przylepiającą się do stóp ludzi, którzy idąc wgniatają nasiona w ziemię. Nasiona babki podróżują również z prądem rzek i potoków, nie tracąc siły kiełkowania, i osiadają w różnych miejscach na brzegu.

Ewa Mochtak

ODKRYWANIE ŚWIATA

Reporterzy, na start!

Skąd się wziął reportaż? Gdzie należy szukać jego źródeł?

Sławny pisarz, znakomity reporter Melchior Wańkowicz dowodził, że reportaż jest tak stary, jak mowa ludzka.

Pół żartem, pół serio zauważył: „*Począł się już, kiedy pierwszy troglodyta (jaskiniowiec) przyniósł wiadomość o pasących się na polanie ichtiozaurach.***"**

Z pewnością w rozwoju reportażu ważną rolę odegrały podróże. Podejmowano je z różnych powodów: handlowych, gospodarczych, a także wojennych. Towarzyszyła im zwykle przemożna chęć poszerzenia wiedzy o świecie.

Podróżnicy słali listy z podróży, powstawały diariusze, kroniki, różnej treści książki. Oto jak sławny Marco Polo zachwalał swoje dzieło „Opisanie świata": „*Panowie cesarze i królowie, książęta i markizi, wojewodowie, rycerze i obywatele oraz wszyscy ludzie, którzy pragniecie poznać różne narody i osobliwości różnych części świata, weźcie tę księgę i zacznijcie z niej czytać***".**

Dziś świat stał się otwarty. Podróże zagraniczne są udziałem wielu ludzi. Ogromne przestrzenie można pokonywać w krótkim czasie. O intensywności kontaktów decydują sprawy polityczne i gospodarcze, rozwój handlu i wymiana naukowa, rozliczne kontakty kulturalne. Turystyka przybiera często charakter masowy. Bywa, że wraz z dorosłymi w świat wyruszają także dzieci.

W naszym kąciku reporterskim będziemy zamieszczać relacje z podróży Waszych kolegów. Niech podzielą się swoimi obserwacjami, wiedzą, wrażeniami, skoro zwiedzili jakiś kawałek świata. Jako pierwszy o tematyce zagranicznej drukujemy na następnych stronach reportaż naszego Czytelnika, Kajetana Litwina.

Romuald Karaś

Reporterzy, na start!

WYCIECZKA DO WRÓT SAHARY

Wczesnym rankiem wyruszamy samochodem w kierunku Sahary. Biskra 195 km — oznajmiają drogowskazy pokazujące na południe.

Odcinek drogi Sétif-Batna przejeżdżamy szybko, nie zatrzymując się w Hamman Soukhna, gdzie znajdują się gorące źródła, ani w Zanie, gdzie stoi rzymski łuk triumfalny. Na dnie słonych jezior: Sebkhet Bazer i Chott Beida widać grudki soli, lecz przenikliwy chłód odejmuje nam chęć pospacerowania po „dnie jeziora". Karkołomne zakręty na malowniczej górskiej drodze przyćmiewają nam piękno pierwszego pasma gór Aurès.

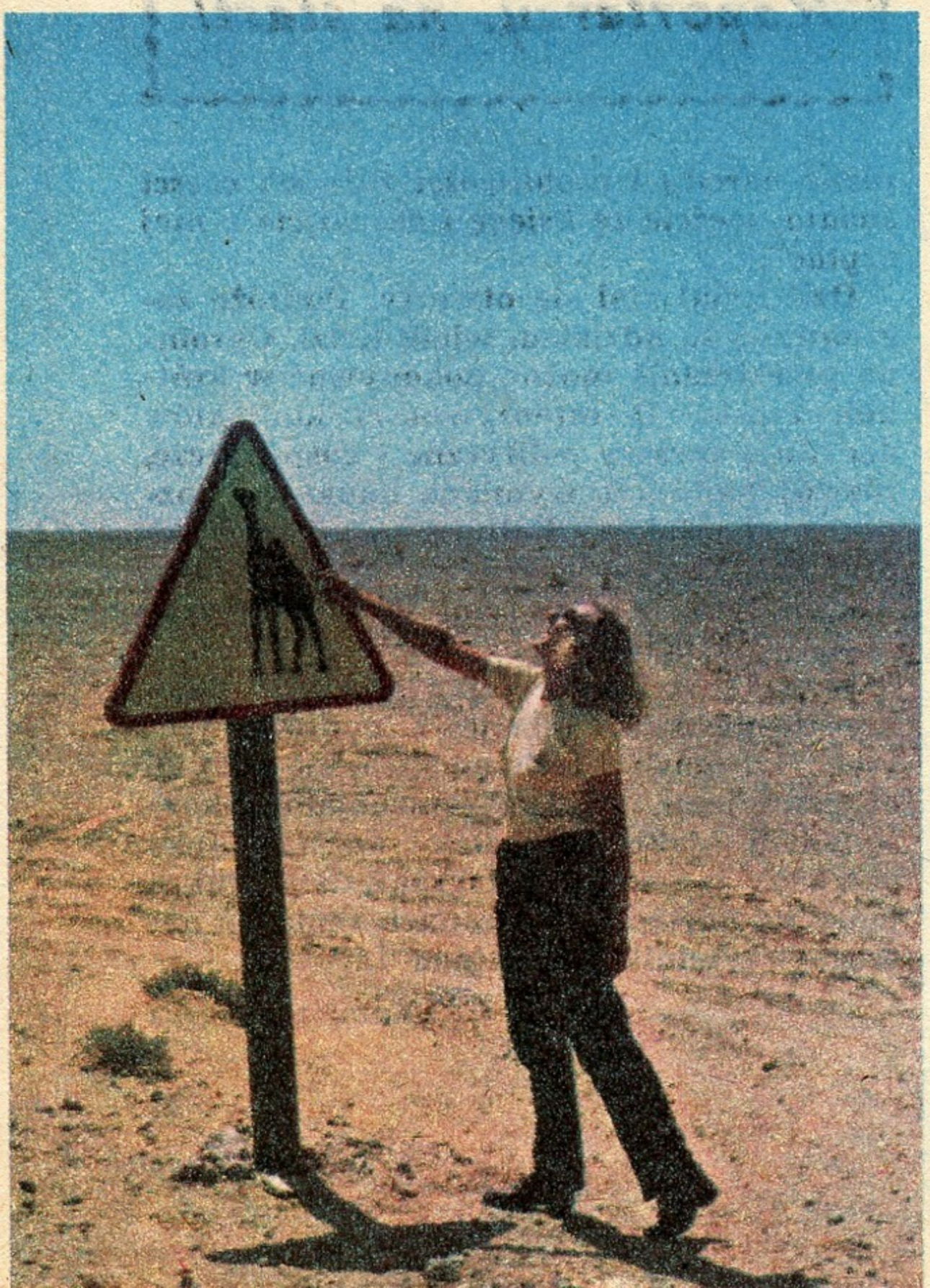

Timgad, nasz pierwszy przystanek „turystyczny", rzymskie miasto i liczący się ośrodek kultu pierwszych chrześcijan (III wiek n.e.). Oglądamy tam doskonale zachowane łaźnie, targ, amfiteatr oraz chrześcijańską katedrę. Wstępujemy również do sklepiku z pamiątkami, gdzie sprzedawca oferuje rzymskie — według jego zapewnień — koraliki, naczynia oraz naszyjniki.

Znów ruszamy w drogę. Robi się ciepło — zdejmujemy kurtki i swetry.

Jakaś opuszczona wioska na zboczu. Idziemy skacząc po... dachach, z drewnianych bali, przykrytych gliną. Wchodzimy do pierwszych chat. Półmrok, zapach wielbłądziej sierści. Każdy sprzęt, przed wzięciem do ręki, należy lekko poruszyć, by odstraszyć gnieżdżące się tam być może skorpiony.

Domy budowane są z kamienia, tylną ścianą do przepaści. Gdy ta ściana się zawali, powstaje jakby „okno", z którego można by zrobić przepiękne zdjęcia. Niestety, jest już zbyt późno, a my mamy do przebycia jeszcze sto kilometrów.

Przed Biskrą czujemy już posmak pustyni. Suchy wiatr, spalona ziemia i nawiany piasek stwarzają niezapomnianą scenerię. W dali, wśród pola, widać białe domy — to Biskra.

Nocleg w Toldze. Rozkładamy bagaże i śpiwory. Sucho i gorąco. Trudno oddychać, a na dodatek łapiemy katar.

Nazajutrz jedziemy do Touggourtu. Po drodze piękne gaje Oasis des Ziban. Nagle tata ostro hamuje i zjeżdża na pobocze. Wielbłądy!

Wysiadamy z samochodu i robimy zdjęcia „okrętom pustyni". Nieco dalej widzimy wyschłe jezioro. Grupy robotników zbierają sól z dna.

Za słonym jeziorem rozciąga się pustynia piaszczysta — erg. Słońce jest tak ostre i tak mocno przygrzewa, że nie można usiedzieć w samochodzie.

W Guémar oglądamy średniowieczny meczet. Zbudowany został z gliny i kamieni. Jest bardzo zniszczony, grozi mu zagłada.

El Oued — miasto na pustyni. Inne tutaj dachy domów — kopulaste. Słońce i zieleń palm. Na ulicach panuje słaby

ruch. Tylko kobiety z plemienia M'Zab handlują, czym się da.

Opuściwszy El Oued jedziemy do Touggourtu drogą prowadzącą przez pustynię piaszczystą. Zatrzymujemy się kilkakrotnie spotykając wielbłądy. Właściciele wielbłądów sprzedają miniaturowe „róże pustyni" — piasek, który kamieniejąc przybrał kształt róż. Można też kupić od nich małe jaszczurki warany oraz sympatyczne „pieski pustyni", czyli feneki. Po drodze mijamy hotel „Nomade", upodobniony do namiotów koczujących Nomadów.

T o u g g o u r t, stara część miasta. Mimo upału w wąziutkich uliczkach panuje przyjemny chłód.

W d r o d z e p o w r o t n e j mijamy przełom górski pasma Aurès. Legenda opowiada, że tutaj Herkules postawił swoją stopę. W ten sposób, krusząc góry, uczynił prześwit w masywie Atlasu. Otworzył drogę ku pustyni.

Przełom ten słynie także z mostu kamiennego pamiętającego czasy rzymskie. Most odrestaurował Napoleon I, cesarz Francji.

W i e c z o r e m, pokonawszy odległość ponad 300 km znaleźliśmy się w domu, zmęczeni, ale zadowoleni. Po trudach drogi zmorzył nas sen. Będziemy te dni jeszcze nieraz wspominać. Pomogą nam w tym zdjęcia z podróży do wrót Sahary.

Kajetan Litwin

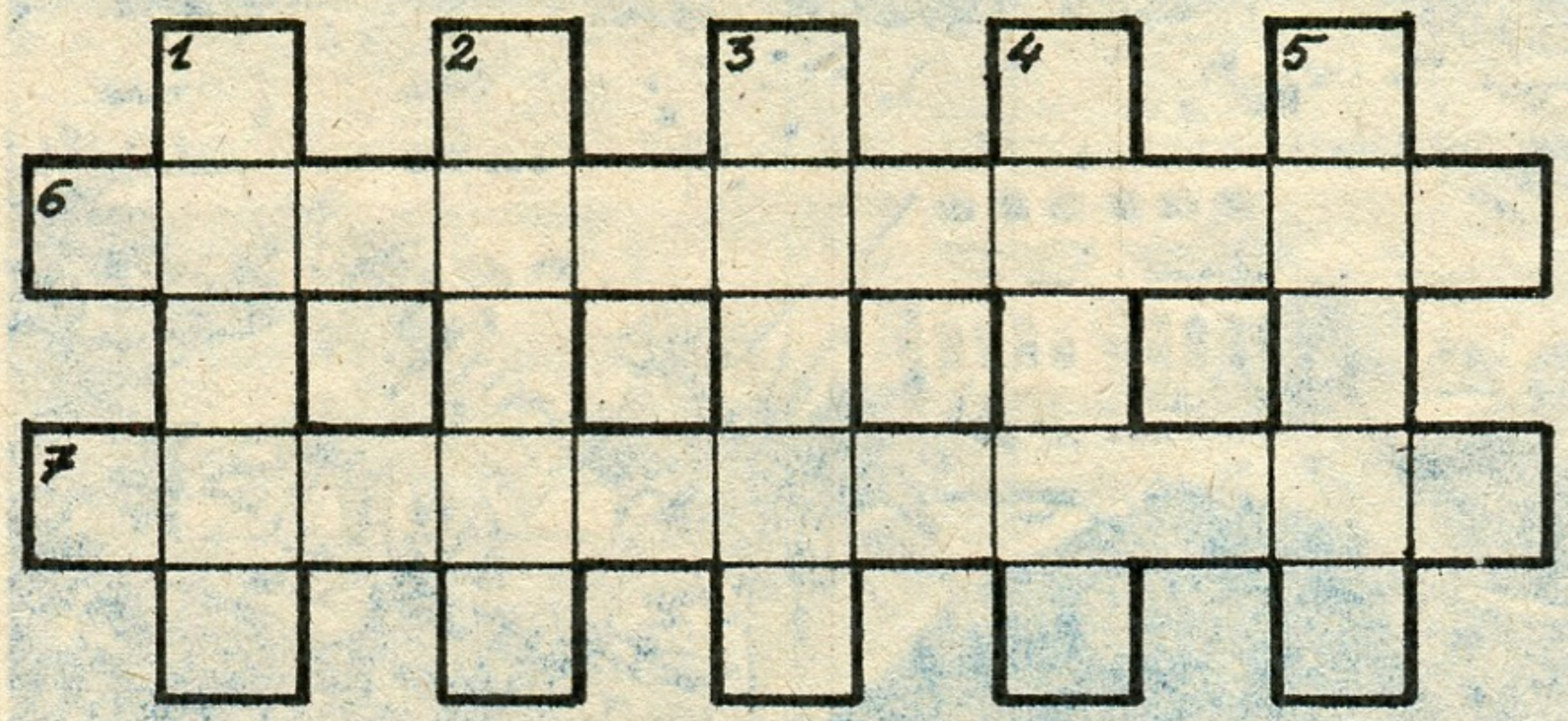

ZAGADKA 2

Kraków i Karpacz to miasta
znane Wam z nazwy chyba.
Spróbujcie jednak znaleźć,
w którym skryła się ryba.

S. A.

KRZYŻÓWKA

W puste kratki wpiszcie wyrazy o podanych znaczeniach.
Poziomo: 6) jeden z miesięcy, 7) są w nim maluchy i starszaki.
Pionowo: 1) polskie góry, 2) napis na kopercie, 3) z warzywami lub z gazetami, 4) ptak — złodziej, 5) ssie krowę.

J. S.

ZAGADKA 1

Jestem w każdym pamiętniku,
na księżycu, w gołębniku.
Wszystkie mają mnie księgarnie,
niepotrzebna jestem sarnie.
W lesie pukam z dzięciołami.
Ma mnie każda pielęgniarka,
ale nie ma mnie kucharka.
I w kolędach się odzywam,
powiedz, jak ja się nazywam?

J. S.

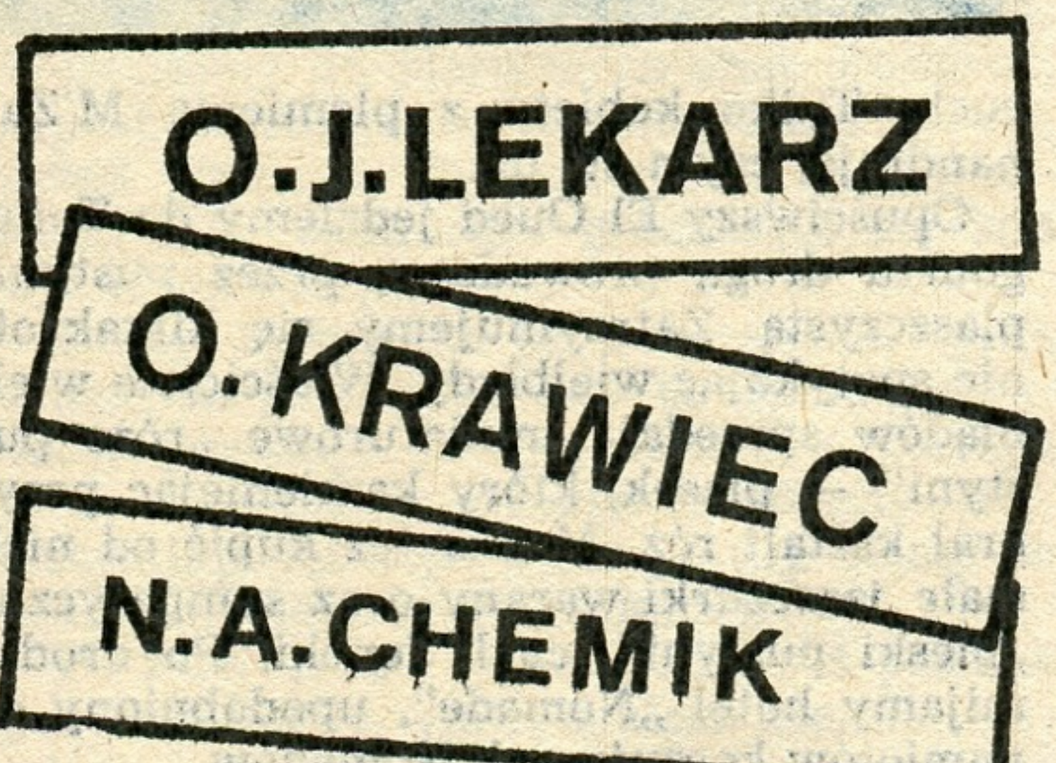

WIZYTÓWKI

Takie nazwiska mają trzej panowie, ich prawdziwe zawody są ukryte. Poprzestawiajcie litery w poszczególnych wizytówkach i odczytajcie zawody ich właścicieli.

KWADRAT MAGICZNY

W kratki kwadratu wpiszcie 5 wyrazów pięcioliterowych o niżej podanych znaczeniach tak, aby je można było czytać jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1) wielka ilość, 2) wirusowa choroba, 3) twarda reguła, 4) miasto wojewódzkie, 5) imię męskie.

J. S.

1	2	3	4	5
2				
3				
4				
5				

NASZ ZWIERZYNIEC

JEŻ

Jeden jeż ma około sześć i pół tysiąca kolców. Są one jego jedyną obroną przed napastnikami. Pies może szczekać nad nim wniebogłosy, ale go nie dotknie. Drugą cechą jeża służącą ku obronie jest jego cierpliwość i opanowanie. Czeka zwinięty w kłębek dopóty, dopóki psu nie znudzi się ujadanie. Jeże żyją w ogrodach, sadach i parkach. Odżywiają się wszystkim: owadami, dżdżownicami, ślimakami, wężami, a nawet młodymi gryzoniami i pisklętami. Zimą ukryte gdzieś w wykrocie, pod korzeniami lub pod sianem w stodole, zapadają w sen. Gdzieżby znalazły zimą te wszystkie smakołyki? Od wiosny do jesieni żerują zaraz po zachodzie słońca przebiegając z jednego miejsca w drugie, niezbyt płochliwe, przyzwyczajone do rozgwaru zwierząt gospodarskich, ujadania psów i wieczornych zabaw dzieci.

Jeże są pożyteczne, gdyż ich głównym pożywieniem są owady i larwy, wyrządzające szkody w sadach i ogrodach. Nie wolno jeży zabijać i znęcać się nad nimi! Co najwyżej można zaprosić jeża do mieszkania na mleko. Bardzo szybko oswaja się, pozwala nawet na głaskanie nie strosząc kolców. Chociaż się go nakarmi, pędzi nocą po mieszkaniu i tupie przy tym, jakby miał buty. Tępi bezlitośnie karaluchy i prusaki. Gdy dba się o niego, nie tęskni za wolnością. Trzeba go jednak wynieść na dwór jesienią, żeby mógł przespać zimę.

Mówi się, że jeże cechuje wysoka kultura we współżyciu społecznym wśród współbraci, na przykład w kolejkach po ślimaki i dżdżownice. Złośliwi powiadają, że jeże nie pchają się, bo by się pokłuły. Ja tym złośliwcom nie wierzę. Też miałem jeże w mieszkaniu na wsi i ilekroć otwierałem wieczorem drzwi na werandę, zawsze przepuszczały mnie pierwszego.

Franciszek Kobryńczuk

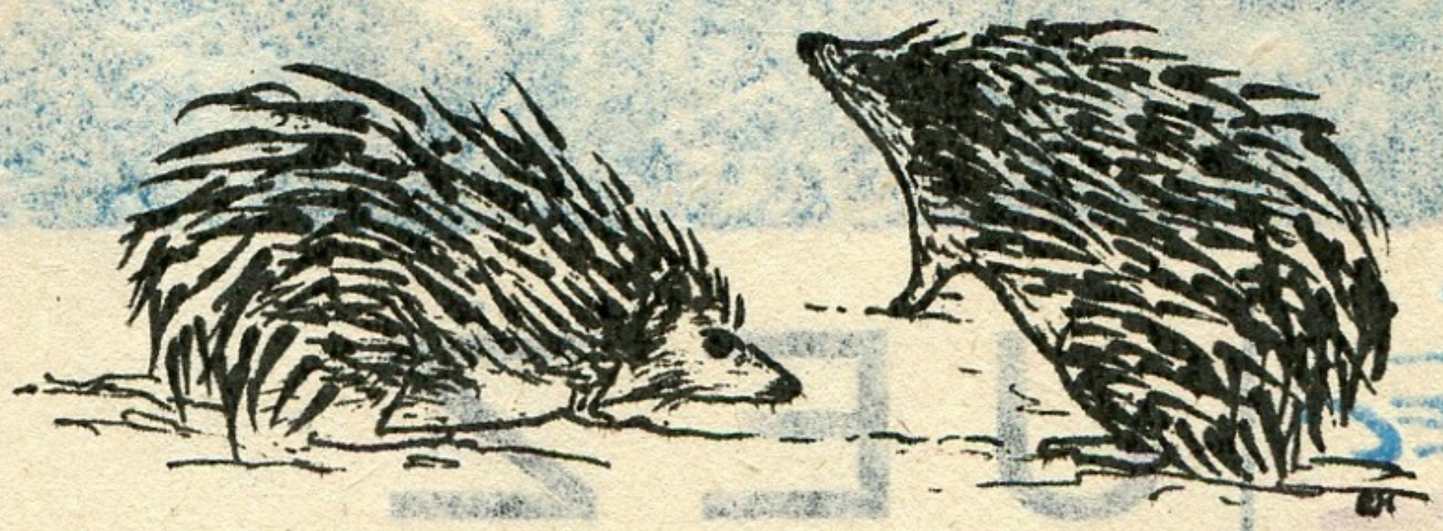

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1846/86 A-4

Nakład 430 370 egz.

ISNN 0137-8511 INDEKS 36875

NASZ ZWIERZYNIEC

JEŻ

Fot. Bonifacy Gałka

CENA 20 ZŁ